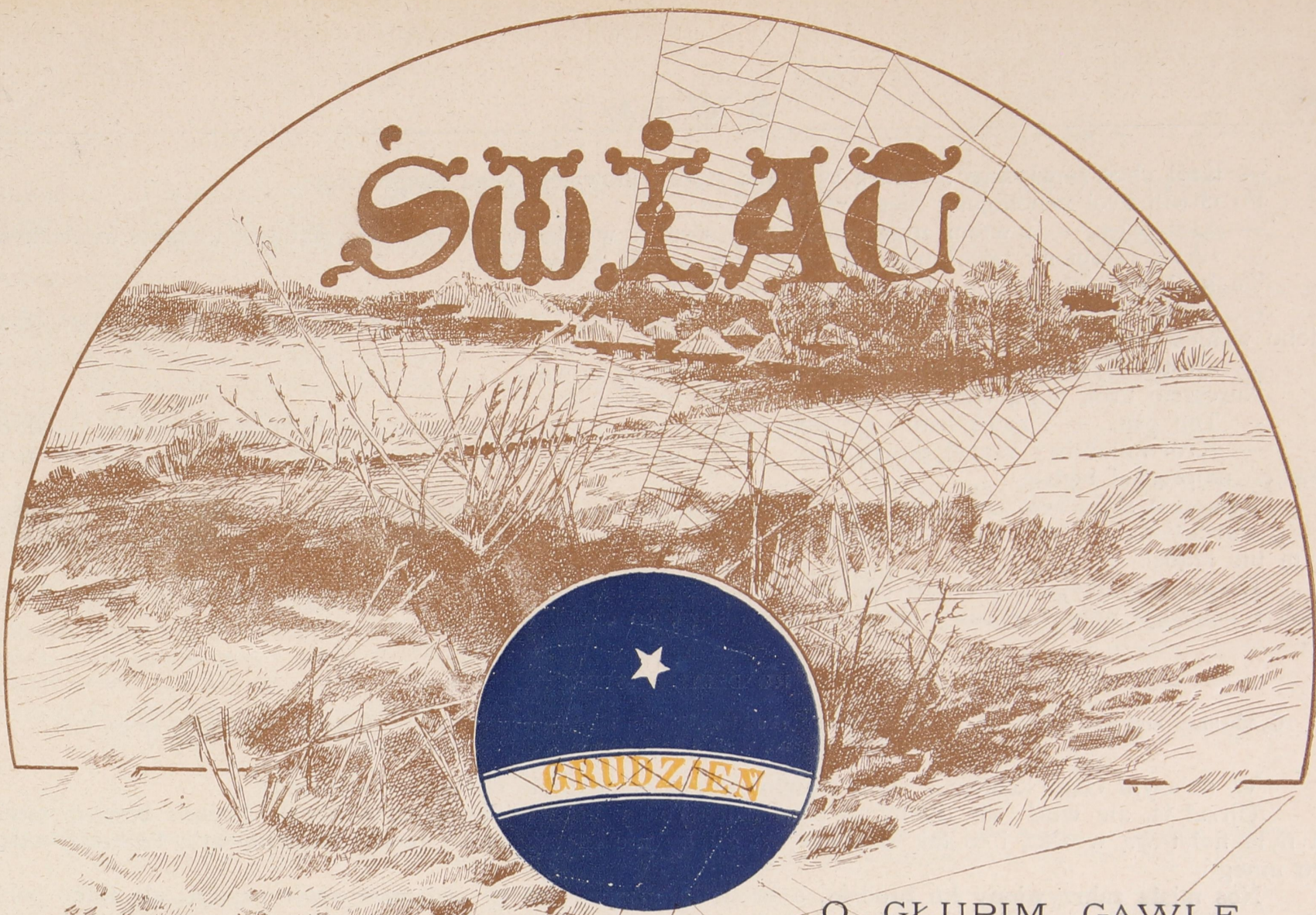


ŚWIĄC



Gdy jutrenka przed Gody długo świeci,
Chleba mają dosyć Boże dzieci;
Gdy zniknie gdzieś w zasłonie —
Nastąpią lata płone.



Wigilja jasna, św. Jan ciemny
Obiecują rok przyjemny.



Gdy się Chrystus przed pełnią urodzi
W następny rok urodzaj dogodzi.



O GŁUPIM GAWLE.

KLECHDA NIEMĄDRA.

(Dokończenie).

ROZDZIAŁ NASTĘPNY.

Posłuchanie królewskie bardzo osobliwe. — Z Gawłem przygotowanym, gada król nie przygotowany; wszystko to przy gotowości pogodzenia ich obu, ze strony Wielkiego Wykładey.

Nareszcie nastał dzień pamiętny, w którym Gawel naprzód po raz pierwszy oglądać miał oblicze króla, a następnie, oblubienicę swoją — przyjść, ujrzeć i zdobyć.

Od posłuchania się zaczęło.

Gawel truchlał, i miał czego. Krażyła bowiem pogłoska, że król w niegodziwym jest humorze. Poprzedniego wieczora, kiedy minister skarbu (w przystępie gorliwości o finanse państwa) buty mu ścigał, on mu dał nogą w zęby (co spowodowało przynajmniej podskok na walucie).

Gawel przyszedł dostatecznie przygotowany. Wybornie umiał na pamięć zdawna już ułożoną mowę, ale znów tak się złożyło, że chustki od nosa (czy do nosa) nie wziął. To zaś (pewnie z wyższych wyroków) snadź dla tego się stało, aby nie miano prawa powiedzieć o nim kiedyś, że się niczego nie nauczył i nic nie zapomniał.

Więc, skoro na środek wystąpiwszy, chciał się wprzód z kroplistego potu obetrzeć, a tu kieszeń zastał próżną, zmieszał się i język mu skołowaciał. Tymczasem cisza panowała przekłeta i trzeba było od czegoś zacząć.

— Miłościwy królu — rzekł tedy wreszcie — ja, niżej podpisany (poprawił się), to jest, właściwie ten, który się pokornie o to, ażeby mu daną była za żonę królewna, stara...

To usłyszawszy król, zrobił się czegoś bardzo czerwony, i zerwawszy się z tronu krzyknął grzmącym głosem.

— Milcz ty bla... — ale w tem się zakrztusił, a Jeden z Drugim podszedłszy ku Gawłowi, rzekł mu uprzejmie:

— Król chce powiedzieć: »Milcz ty błahe rzeczy mówiący, synu mego serca«.

Po chwili król uspokojony nieco rzekł znowu:

— Ależ ośle... — i wtem znów go kaszel porwał, a wykładca królewski ciągnął dalej z miłym uśmiechem:

— »Ależ oślepiiony jesteś mniej słusznie mej potęgi majestatem.«

Tu król wznosił pięść ku Gawłowi i powiedział:

— Jesteś cymb... — i znów jak wprzód od kaszlu się zaniósł, a Wielki Podpowiadacz z oczyma błogo w niebo wzniesionymi, dokończył tkliwie:

— »Jesteś Cymbeliny mojej ukochanej narzeczonym lubym.«

Nareszcie król, nogą tron kopnąwszy, odszedł mówiąc jeszcze:

— Ten głu... — i znów astma go chwyciła, a twórczy sufler z pewnym czci ukłonem oświadczył Gawłowi:

— Król miłościwy raczył powiedzieć: »Ten główny lasów moich wspaniałych zarządca, niech moim synem co najprędzej będzie«.

I na tem skończyło się posłuchanie, z którego jak widzimy, jasno przekonać się można, że król konstytucyjny, choćby nawet nie chciał, słodkie tylko rzeczy prawić jest zmuszony. Gdyż on panuje, ale nawet sobą samym nie rządzi.

Kiedy przy wyjściu z tamtąd odźwierny dopraszał się, ażeby mu Gawł dał na piwo, on udał, że nie słyszał, bo już był nabrał wprawy słyszenia tylko tego, co chciał usłyszeć.

ROZDZIAŁ NASTĘPNY.

Cymbelina, królowa tajemnicza. — Bezprzykładne skutki złośliwości niechętnego trefnisia. — Gawł w popędliwości swojej traci posadę, żonę, a z nią może i królestwo, i zostaje znowu niczem.

W dalszym ciągu danem zostało Gawłowi oglądać wreszcie dostojną oblubienicę.

Ujrzał ją, ale właściwie (jakby to powiedzieć?) niby kota w zawiązanym worku. Istotnie bowiem zawiązana była fioletową woalką i to tak szczelnie, że gdyby nie zarysy nosa i brody, możnaby było twarz jej wziąć za co innego.

Nos miała zakrzywiony ku brodzie, a brodę ku nosowi, co jej nadawało pozór papugi, ale tylko pozór, gdyż papugi w ogóle gadatliwe bywają, ona zaś uparcie milczała.

— Tem lepiej — pomyślał Gawł — a nuż przez te długie lata jej żywota odpowiednio w fizyologii, biologii i socjologii umysł jej kształcono, to w takim razie o czymżeby on z nią rozmawiał?

Ruszała się zaś, chodziła, siadała tak ostrożnie, że wogóle głęboka przenikliwość zdawała się być wybitną cechą jej charakteru; kiedy zaś przyszło intercyzę podpisać, rozważnie wysunęła wtedy wcale chudą rękę i ta ręka się trzęsła, ale może od wzruszenia.

Spróbował Gawł o wieku tej Cymbeliny z aktu jej urodzenia się dowiedzieć, ale i to go zawiodło. Na dacie bowiem spoczywał w całej okazałości żyd ogromny, który mu żywo przypominał tajemniczego tułacza, a z nim i niewczesne jego objaśnienie.

Tak tedy trwało aż do weselnej wieczerzy (a zastawiono ją w sali »Pięciu zawrotnych szczytów powodzenia«), przy której skoro ich obok siebie posadzono, tuszył Gawł, że się ona nareszcie do jedzenia rozpowie.

Jakoż zrobiła to w sposób niezmiernie oględny, co gdy się stało, spojrzął z pod oka; wyglądała wcale, wcale niepowabna.

Jednak ponad oczami wpadłymi, brwi miała przyzwoicie zatoczone; płeć jej zaś wyglądała świeża, choć czegoś błyszcząca.

Zęby też zdawała się mieć w porządku, a i włosów nie brakło na jej głowie.

— A no — pomyślał Gawł — robię ja co mogę dla polepszenia sobie bytu, niech też i ona robi co potrafi dla polepszenia swego wyglądu.

I wszystko byłoby się dobrze zakończyło, gdyby nie to, że z nagła ni ztąd ni z owąd, zaszły okoliczności bardzo osobliwe.

Oto w chwili, kiedy wnieść miano toast »kochajmy się«, przyczem wszyscy byliby się w świętej zgodzie pocałowali, doręczono Gawłowi powinszowalny jakiś telegram. — Od kogo to? — Od trefnisia króla Terefere (człeka jak wiadomo niechętnego). — Ten zaś tak pisał:

Kochany kolego!

— Więcej poufałości, niż znajomości — mruknął Gawł.

Gdy masz serce trwogą zdjęte,
To od ślubnej twej wieczerzy,
Radzę waści jak najszczerzej,
Wolno spiesz — *festina lente* —
Bo kto godzi w czyją piętę,
Łatwo sam się w nos uderzy.

To gdy przeczytano, nagle królowa (Cymbelina imieniem), zapomniawszy wrodzonej czy też nabytej doświadczeniem przezorności, jak nie wybuchnie szalonym śmiechem... a wtedy, cóż się stało? Oto z ust jej wyleciał jak z procy przedmiot jakiś bardzo biały, i ten padł z brzękiem prosto w talerz siedzącego naprzeciw szambelana. Spojrzął Gawł — o zgrozo! — były to zęby królowy.

Ta zaś w tejże chwili, niebacznie zasłoniła sobie twarz rękami, oraz jeszcze niebaczniej padła zemdlona, uderzając głową w tył krzesła, a wtedy znowu cóż się to takiego stało? Oto twarz Cymbeliny owej wielce spłowiła, a jednocześnie włosy jej głowy z głuchym jękiem padły na posadzkę.

Rzucono się trzeźwić pannę solami, gdy zaś to nie skutkowało, ktoś poradził znanym sposobem za nos

ją pokręcić. Wtedy Gawęł w obawie czy się i nos ten nie odkruszy, dał nura pod stół, tam włożył sobie gałkę w gębę i wymknął się niepostrzeżony.

Wychodząc, słyszał wyraźnie jak heroldowie z ganków głosem donośnym obwieszczali w cztery świata strony:

— Uspokój się narodzie! zęby te, królownie naszej ani fluksyi nie sprawiają, ni strzykania w uchu! Włosy te nigdy nie osiwieją! Cera zaś zawsze pozostanie taką, jaką widzicie na miedziakach, na których istnieje chwalebne jej popiersie! Więc się tylko weselcie i nie czekajcie aż wam to nakażą!

Tymczasem strapienie Gawęła nie miało granic. Długo chodził miotany wielkiem uczuciem urozmaiceniem. Wreszcie powiedział sobie:

— Nic nie pomoże, wyzwę nikczemnego Tereferczyka!

Powiedział to i zaraz się przestraszył własnej odwagi. Bo tak pomyślał:

— Kij każdy ma dwa końce. Tak też i tu, jedno z dwojga. Albo sam zostanę zabity (czego życzyć sobie nie mogę), albo zabiwszy wroga, wiecznie dręczony być mogę przez jego ducha (Gawęł jak wiemy, wierzył w istnienie duszy).

Więc znagła postanowił zostawić go przy życiu, za co w nagrodę sam zyskał życie.

Lecz kiedy, ochłonawszy w ten sposób, do pałacu znowu wrócił, zastał tam na nieszczęście zmiany nie bywałe. Godność Wielkiego Leśnika powierzono szambelanowi, Gawęł zaś popadł w krzyżącą niełaskę, skutkiem której rozwód mu nawet przez woźnego doręczono. A to się stało z tej przyczyny, że doniósł ktoś królowi (bodaj nawet czy nie szambelan, człek już w pewnym wieku), jako w chwili kiedy Gawęł królowną od ślubu prowadził, baba jakaś zawołać miała: — Ależ ten młodzik wygląda jakby był jej synem!

Ha! z astrologią nie przelewki, a i z królem także (choćby i konstytucyjnym) żartować nie sposób.

ROZDZIAŁ NASTĘPNY.

Z nicości swojej dźwiga się Gawęł na wyżyny pojęć o godziwym dorobku. — Pragnąc jednakże jak największego, poprzestać musi na jak najmniejszym, a to z przyczyn zależnych od katastrofora, który w tym razie ukazał nieugiętość godną przekonań swego twórcy.

Więc Gawęł nie namyślając się dłużej, wziął nogi za pas i poszedł.

Ogarnęło go zniechęcenie do księżycy.

— Bodaj was ciężkie lichy! — tak mówił. — Miejsze tu rozgłos, powodzenie, stanowisko; zdobądźże wreszcie posadę, kiedy lada okoliczność głupia wymknie stołek z pod ciebie i siedzisz na twardym! Wracam jak byłem goły i bez butów i straciwszy tylko czas drogi, przez który (odkładając nawet na później) mogłem już dotąd zrobić coś istotnie rozważnego. Wartoż to aż elektryczność do rydwanu swego zaprzęgać, ażeby po wszechświecie latając, tak samo jak i w domu siedząc, guza sobie nabici? Ach! gdybym się był chociaż bogactwa dorobił!

Tu wspomniawszy sobie nieszczęsnego bohatera z »Kukurykańskiej śledziny«. Tamten z kapitałem walczył i czegoż dokazał? Oto za ledwie go nastraszył, czy zawstydził — i nie mógł żadną miarą zrobić więcej, bowiem »sprawiedliwa, stojąca na straży szczęścia wszelkich organizmów żywych, przyroda«, bezdzietnością animusz jego wcześniej poskromiła. Z tego nie jednej rzeczy nauczyć się można. Bo cóż to jest kapitał? Jestto to, co ty masz, a czego nie ma drugi. Więc ten drugi radby mieć co twoje, a jeśli tego sam nie dokaże, to w dalszym ciągu zrobią jego dzieci, tylko nie takie których wcale nie ma. Więc istotnie przyroda, cóż to za sprawiedliwa matrona! Tylko czemu ona nie wszystkich zrobiła gołemi? to wyszłoby na jedno, co wszystkich zbogacić. Skoro zaś inaczej być nie może, to już ci lepiej mieć coś, niż nic nie mieć, a w takim razie niech nic nie mają drudzy, o! i owszem, co jemu do tego! Ale jak tu godziwie a prędko przyjść do majątku? Na ziemi dwa te względy pogodzić trudno, więc częściej się zdarza drugi z pominięciem pierwszego...

Tu wspomniawszy sobie cały zastęp kantorowiczów, tak biegle dających drapaką, że po za niemi kurzą się tylko listy gończe.

I proszę sobie wystawić ten sposób dorobku tyle już spospolitowany — i nawet wcale tuzinkowy — znagła w głowie jego myśl skrzesła niezmiernie genialną.

— Aha! znalazłem wreszcie! — wykrzyknął. — Życzę wam pomyślnego trawienia księżycanie mili! Nie wy ze mnie, ale ja z was zadrwię, jak wam z ziemi naszej figę za powrotem pokażę!

To powiedziawszy przyspieszył kroku.

Koniec końcem, on także ztąd ucieknie, tylko że w sposób honorowy, bo nie weźmie z sobą nic cudzego, tylko to o co tu nikt nie dba, a co na ziemi koronom nawet i berłom, ba! nawet wdziękom kobiecym blasku jeszcze zwykło dodawać. Co on zaś przez to rozumiał, wprędce się dowiemy.

Myślni temi pobudzony takiej nabrał otuchy, że przechodząc przez królestwo Terefere, bez wahania nawet wstrętnemu trefnisiowi palcem w bucie pokiwał, ale że tamten mógł to spostrzedz (palec bowiem niezależnie od swej woli znajdował się wtedy na wierzchu), więc Gawęł na wszelki wypadek spieszenie pomknął w stronę poprzednio już zbadanej półkuli.

Na granicy zmiany zastał niejaki.

W ruinach pałacyku zamożnego niegdyś passera, znajdowała się teraz ochronka, do której w coraz większej liczbie uczęszczały młodociane odrośle przemysłu krajowego, pilnie strzeżone jako dziedzice majoratów przyszłości. Zaczem też i celnicy wyglądali jacyś nieprzejednani. Żeby im w drogę nie wlażyć, Gawęł gałkę wziął w gębę i przemknął się cichutko. Następnie co tchu dopadłszy znanego sobie szybu, z łatwością w nim odnalazł starannie tam zachowany katastrofor.

To gdy się stało, wzrok skierowawszy w stronę ziemi, o radości! ujrzał na niej wcielenie marzeń swego życia, but — nic a nic nie dziurawy, i wziął to za dobrą wróżbę. Były to Włochy. Istotnie od cholewy aż do podszwy całe. Gawęł pozazdrościł im ich całości. Wezuwiusz miały na podbiciu, a u pięty Etnę, niby ostrogę.

Choć co prawda wyglądały mniej błyszczące, niż było, kiedy się z lat składały. Wtedy je szwarzgelbem czyszczono, ale za to szcotka nie mile drapała.

Gaweł nie zastanawiał się już nad tem, tylko gorączkowo jął wybierać w kupach dyamentu. Ale jak tu wybrać? Byłby rad wszystko wziąć. Ręce mu drżały. Nareszcie upatrzył bryłę ze wszechmiar najokazalszą i tę nie bez wysiłku wtłoczył w kosz z sitowia.

Do licha! Katastrofor ani rusz nie chce dźwignąć tak wielkiego ciężaru.

T A D E U S Z B A R A C Z .



PROJEKT NA POMNIK T. KOŚCIUSZKI.
(ODZNACZONY NA KONKURSIE LWOWSKIM I NAGRODĄ).

Gaweł jednak, swoją drogą mocno był strapiony. I dogodźże tu komu? On mniemał, że jest stratny. Jemu się coraz dotkliwiej zdawało, że od dyamentu, który wiozł z sobą, piękniejsze były te, które wyrzucił. Któż wie czy tak się rzecz miała, i kto sprawdzi? Przypuszczalnie był w błędzie. Bo to już taka człeczka dola, że zawsze się nam wydaje pożądansem to, czego nie mamy.

No zapewne. Na księżycu poniewiera się takich jak ten Bóg wie ile (i to może dla tego ziemia go tak uporczywie przy sobie trzyma), a jednak na całym obszarze niemałej naszej planety (wliczając w to i Potozi i Kalifornię i Monaco i głębie Afryki, które mało kto widział, i wewnątrz Australii, które zna niewielu, i Atlan-

Nie ma co, trzeba poprzestać na kostkowym. Z tego tedy pilnie wybrał Gaweł kilka co wspanialszych okazów, co uczyniwszy, odetkał klapę od elektryczności i wio, jedzie...

Jedzie, ale po jakiemu on jedzie? Ujechał trochę i stanął. Nie ma rady, trzeba ulżyć balastu.

Wyrzuciwszy jeden dyament, poleciał trochę wyżej, ale znów stanął.

— Bodaj cię djabli — zaklął zgrzytając (wiemy, że wierzył w djabła).

Tak to było coś aż do czterech razy, dając najuroczystsze moje słowo. Aż dopiero ledwie z ostatnim (ma się rozumieć najmniej okazałym) jął lecieć i już się nie zatrzymał.

Więc jechał, ale mocno zmartwiony.

A byłby się pocieszył, gdyby choć wiedział w jaki sposób Nemezys (ku pomszczeniu krzywd przezeń doznanych) poumieszczała skarby, z których on korzystać nie miał. Oto pierwszy z tych pocisków z króla strącił koronę, tak, że ten został z gołą głową; drugi trafił w kolano przedsiębiorcę, który zmuszony był przykłęknąć; trzeci w kark zwałił któregoś z adwokatów, który rad nie rad musiał się schylić; ostatni wreszcie utracił nos trefnisiowi, tak, że ten plackiem padł na ziemię.

I oto stało się według odwiecznego zwyczaju, który mieć lubi, że człeczka wtedy dopiero zasłużone spotyka uczczenie, kiedy go już na oczach nie mamy.

ROZDZIAŁ NASTĘPNY.

Gaweł w powrocie na ziemię doznaje na-przód wzruszeń jeograficznych, a następnie uczuciowych, — Pazar mędrca Fou-hi, trychiny w protoplazmie, oraz wycinanie nagniotków. — Gaweł wszystkie te rzeczy ocenia tak, jak na to zasługują.

tydę która być miała, i Ikaryę która być mogła, i wreszcie San Marino które jest, choć się wydaje, że go nie ma), za dyament podobnej wielkości, czegoż ty nie kupisz głupi Gawle? Wszystko to co tylko cenę ma jaką, a cóż na świecie naszym zapłacić się nie da?

Dosyć ci tedy, że jedzie Gawle, jedzie i jedzie.

Aż kiedy przybył wreszcie na połowę drogi, znów katastrofor fajt z nim jak i wprzód — i on czuje, że już nogami wprost ku ziemi zmierza.

Wtedy, o radości! znów ogląda z powrotem ukochane swoje szerokości i długości, i równik do którego tęskno bywa w zimie, i bieguny do których człowiek latem wzdycha, i te lądy tak zgodnie od sąsiadów twierdzami okopane, i te nieprzejrzane łąny bagnetów, kwitnące paszczami armat coraz dokładniejszych systemów, i te morza tak starannie zarybione torpedami, słowem wszędzie stan błogi pracy organicznej, nie zaś tylko polowanie i rybołówstwo, jak było w epoce pasterzy! A za to na księżycu, o zgrozo! czyliż po staremu nie budzi w nim wstrętu bratobójca niegodny, podnoszący na widłach niewinnego Abla?

— A tuś ty kajdaniarzu! go dzien całego kodeksu kar głównych i poprawczych. Bodaj cię od ziemi naszej w ciemny gdzieś eter zesłano (gdzie podobno sto czterdzieści stopni mrozu, czy może i więcej!) bodaj ci dyamenty twoje wszystkie na skarb zabrano! Bodajś sam przepadł, ty i twój księżyc z tobą!

Tak to Gawle błuźnił, zapomniawszy o tem, że księżyc od słońca pożyteczniejszy, bo on w nocy świeci, podczas gdy w dzień i tak jasno.

Z tem wszystkim, baczność! bo oto już ziemia.

Panie miły! To kiedy się Gawle na swoich śmieciach znów ujrzał, serce, proszę mi wierzyć, jeszcze silniej mu uderzyło, niż kiedy niczem nie będąc, zagnała Wielkim został Leśnikiem.

Więc tedy, a no, jakże się macie, cóż tam słycać?

A słycać było rzeczy następne:

Naprzód matka jego, jak się pokazało, proceder była zmieniała. Bo porzuciwszy kości, w szmatach ją szukać powodzenia. A stało się to na skutek zaszłej śmierci jej ojca (czarnoksiężnika), po którym odziedziczyła cenny bardzo talizman. Był to pazur mędrca Fou-hi, mający tę własność, że osadzony na kiju, dawał rozróżniać wśród gałganów te, z których w przyszłości powstać miały akcye cukrowniane, losy pierwszych czterech klas loteryi, i wreszcie banknoty od cła wchodowego. Przedsiębiorstwo to dozwalało jej od czasu do czasu wychylić z westchnieniem wcale pokazną miarkę anyżówki, więc Gawle nie widział potrzeby narzekać w jej imieniu na przesładowcze losy.

Bracia jego oba powysiadawawszy swoje Pawiaki, dmuchnęli w świat szeroki (nie wiadomo było czy za swoje pieniądze?). Jeden do Afryki, podobno handlować niewolnikami, czy nawet niewolnicami, drugi do Australii złoto kopać (ale nie nogą, tylko rękami) i przepadli tymczasem bez wieści.

Przyrodznawca Ypsylanty, zdolawszy wykryć trychiny w protoplazmie, porzucił fizykę katastrofalną

LEONARD MARCONI.



PROJEKT NA POMNIK T. KOŚCIUSZKI.
(ODZNACZONY NA KONKURSIE LWOWSKIM II NAGRODĄ).

i począł pisać zoologię ultramikroskopową, której dotąd nie skończył, a to z powodu, że odkrył potem solitery w tych trychinach, a następnie w tych soliterach laseczniki gruźliczne, więc szuka środków leczenia ich od tej gruźlicy, czego gdy dokaże, publicznie wstydem okryje Pasteur'a.

Żolka wybrawszy się do Zurychu aby tam zostać lekarką, w czas nie długi wróciła ztamtąd operatorką odcisków, ale już Gawel o nią nie dbał, mając nogi zdrowe, choć za to głowę w niezbyt świetnym porządku.

ROZDZIAŁ NASTĘPNY.

Gawel w dobrym bycie. — Jego pańskość i przedziwne bezpieczeństwo od strony chciwych współobywateli. — Co o tem powiada bardzo szczególna legenda, i coby był powiedział trefniś króla Terefere?

Bowiem o jego skarbie, skoro po świecie wieść gruchnęła, jakże głęboko mu się wszyscy kłaniać począli. Rad był z tego, gdyby nie to, że mu to przypominało czasem niewczesny ów telegram trefnisia, w którym go tenże jaśnie wielmożnym nazwał.

Aż niebawem zjawił się jakiś wcale miły człowiek (jakże różny od księżycowego przedsiębiorcy!) ofiarując Gawłowi pałac do zamieszkania, powozy na jego zawołanie i wogóle całe utrzymanie pańskie, poprostu tylko do późniejszego porachunku.

A! w to mu graj!

Więc Gawel rozsiadł się szeroko, grzmiał codzien inną kareta, jadł za dziesięciu, pił (wzorem Bismarka) porter z szampanem, i dobrze mu się działo.

A tymczasem od wszystkich czterech okolic słonecznych zlatywali się ludzie, ba! narody całe, oglądać cudowisko dyamentu, który nie miał, nie ma i prawdopodobnie mieć nie będzie sobie równego. Znajdowali się pomiędzy nimi i pobytowi doliniarze, ale ci ślinę tylko łykali, bo — »Co tu z podobnym fantem za robota?« — tak gadali.

— Juźciż ani go jeść nie będziesz, ani się nim nie odziejesz, tylko chybabyś sprzedał, a któż co podobnego kupi? Toćże gdybyś zebrał do kupy wszystkich państw świata budżety i dodał do nich długi publiczne i pomnożył je przez spodziewane kredyty i to wszystko wzmocnił nieograniczoną w potęgę liczbą asygnatów, na których świetnieją zwodnicze zobowiązania niezwłocznej wypłaty jednym z dwóch szlachetnych kruszców, a następnie całą brzęczącą walutę, której jak Benoitonów, nigdy w domu niema, gdybyś do nich dodał wreszcie passywa wszystkich możebnych krachów i kontrybucyjne miljardy, nie wyłączając nawet funduszu gadzinowego i tego, który jest przeznaczony na nieprzewidziane cele — to jeszcze nie nabyłbyś za to ani jednego z tych kroci karatów, które ten dyament utrapiony najswobodniej sobie waży.

Otóż w tem był dla Gawła kłopot nie mały. On ciągle wyglądał kupca, a kupiec nie przybywał i być go nawet nie mogło.

O Gawle nierozumny! Toćże ty widzę nie znasz legendy, którą kołysano do snu niemowlece chwile Anzelma Rotszylda, za czasu kiedy jeszcze nie był baronem, a ojciec jego kiwał się nad talmudem w licej frankfurckiej uliczce, kędy nikt ani pomyślał, że tam gdzieś dyszą dukaty Landgrafa.

Legenda tak brzmiała:

»Dnia i miesiąca mniejsza którego i roku także tak samo, w pobliżu góry Sinaï, o pół cala od jednej odnogi Morza Czerwonego, o ćwierć cala od drugiej (mierz dokładnym cyrklem na wiarogodnej mapie), przy kopaniu studni natychmiast piaskiem zasypanej, natrafiono na dziwne wykopalisko, kształtu niby kubka (dodać należy, że wyglądał złoty). Wprawdzie dna nie miał, czyżby ludzie dawniej takimi pijali? Nawet był nieco w bok przekrzywiony, czyżby z nieukontentowania, że go wykryto? Na to nadszedł świątobliwy Derwisz (być może Sidi Hassan Abdalla ben Ibrahim, czy coś podobnego) i rzekł poważnie:

— O ludzkie nieobrzezanej wiedzy i nie dość ogolonej głowy! Jeśli to kubek, to taki, z którego należałoby pić rozkosze, snadź aby człowiek mętów się nie dopił (tu odwrócił go dnem, a raczej brakiem dna do góry). Ale to nie jest kubek tylko kopyto.

— Kopyto? któż podobne nosił kiedy?

— Nikt inny tylko złoty cielec.

Tu przypomniano sobie, że w istocie robotnikowi, który je wykopał, ni ztąd ni z owąd spadła czapka z głowy, drugi zaś potknąwszy się o kamień, przykląkł na jedno kolano.

Wprawdzie rozbiór chemiczny wykazał potem, że starożytność ta nie była złota tylko pozłacana, co stało w sprzeczności z powagą Sesurtasena Pteroduktylosa kronikarza współczesnego cielcowi, który twierdzi wyraźnie (w rozdziale o kopytach), że wierni pełnemi garściami znosili arcykapłanowi szczerozłote zausznicę i manele, prosząc go na wszystko aby im ułał cielca. Więc tedy jakież Cuvier nowoczesny dojdzie dziś z tego kopyta gdzie się mogło podziąć złoto powierzone arcykapłanowi?

Powołany wyżej Derwisz uczony oświadczył stanowczo, że Sesurtasen był wierutnym kłamcą, który nawet nigdy nie istniał, i że najpewniej wierni uprzedzając oszustwo arcykapłana, sami go oszukali, znosząc mu przedmioty szczerotombakowe. Wtedy to arcykapłan (będący już na łonie Abrahama) sam osobiście głos zabrał i rzekł co następuje:

— Kapitał jestto dobro nagromadzone dla wytworzenia jeszcze lepszego dobra. Sam w sobie ani on się nie rusza ani się ulepsza i rozum wszelaki za niego mieć należy. Więc skoro, skutkiem tego, nie godzi mu się bryłą być beczynną, to w takim razie ja i moi wierni wzajemnie się na nim oszukując, przez wiarę we wspólnego Boga, wiernieśmy działali.

Tyle jest słów legendy.

Martwa bryła, to znaczy martwy bałwan złoty, czy ty to rozumiesz Gawle zmartwiony bałwanie? I gdyby istniały druty telegraficzne od ziemi do księżycy (czego jeszcze nie zrobiono), to bez najmniejszej wątpliwości, prześladowawczy trefniś byłby wyprawił do ciebie telegram tej nieprzymierzając treści:

Podobny babie głupiec
Raz kupił sobie prosię,
A ono prosi go się,
Aby je raczył upiec,
Lecz cóż, gdy nigdzie różna
Doprosić się nie można!

ROZDZIAŁ NASTĘPNY.

Gaweł w coraz mniej dobrym bycie. — Przyjaciele i przyjaciółki Hioba. — Kim się okazał właściwie »wcale miły człowiek« i czy Gaweł mógł korzystać z rad, które mu były musztardą po niezjedzonym obiedzie.

Zaczem stało się dnia jednego, że pomieniony »wcale miły człowiek« zwrócił jego uwagę, czy przypadkiem nie wydaje mu się pałac na jego potrzeby zbyt obszernym? On to uznał i zmieścił się cały na pierwszym piętrze. Wtedy począł jeździć jednym tylko powozem, jeść za pięciu i pić wino burgundzkie.

Następnie namówił go do przeniesienia się na drugie piętro. Wtedy jadł za dwóch, jeździł dorożkami, i pił wino krymskie.

Poczem (z namowy tegoż jegomości) wyniósł się na trzecie i wtedy jadł za jedną osobę, pił tylko piwo i począł jeździć tramwajami.

Ale tu, gdy mu coraz dotkliwiej po nogach deptano, znalazł, że jest wygodniej chodzić piechotą, co nawet zgodnem się okazało z coraz chudsza zawartością coraz mniejszej liczby zasobów jego kieszeni.

W owym czasie, mieścił się jak mógł na strychu, jadł już tylko za niespełna jedną osobę, pił zaś jedynie ladajaką naszą wodę. Jadając zaś niespełna za siebie, schudł i nieraz kusiło go wyciągać rękę. Ale gdzież tu żebrać takiemu jak on bogaczowi, i ktoby się poważył dać mu choćby grosz złamany?

Naonczas nowożytnego Hioba nawiedzać poczęli przyjaciele.

Jeden mu rzecze: — A co? nie mówiłem?

A drugi powiada: — Wiedziałem, że się na tem skończy.

A inni z politowaniem kiwali głowami:

— Jakżeś mógł się dać tak orznać?

— Co? komu? jak?

Oni się tylko uśmiechali pobłaźliwie.

— O! to cię wziął na kawał! To cię naciągnął! To cię załapał!

— Ale kto? co? jak?

— Ano, ten tam twój przedsiębiorca kochany. Teraz pałac jest jego i powozy i trufle i najlepsze wina.

— Jakto? a wprzód?

— To ty nie wiesz? On był tylko u ciebie odźwiernym, który pobierał od wejścia dychacze. Siedział pod tobą w suterenie i piął się coraz wyżej, w miarę jakęś ty mu ustępował. Twoja wola. Dziś on pan z twego dyamentu, a ty za niego łapę liżesz.

Gaweł uczuł cześć dla Darwina.

— Na księżycu małpowano mu ziemię, na ziemi księżyc mu małpują, toż chyba człek istotnie od małpy pochodzi.

Pesymista! On zapomniał, czy nie wiedział o tem, że świat w przeważnej części złożony jest z autorów i wydawców. Pierwsi chronicznie dziurami na łokciach świecą (ludzie naiwni myślą, że to tylko od pisania), drudzy zaś, również chronicznie, coraz przyjemniej na życie patrzą.

I przychodziły także panie (nawet i z karet na ten cel powysiadawszy) i te powiadały:

— Poco ci było brać taki wielki kawał? Nie mogłeś to lepiej miału napchać w kieszenie.

Ale kiedy on kieszenie miał podarte i nie było ich komu załatać.

— To mogłeś choć w buty nasypać.

Ale kiedy on i buty miał dziurawe.

— To choć w węzłki od chustki do nosa.

Tu już Gaweł nie śmiał się przyznać, że więc poprostu w palce nos ucierał.

Nareszcie zaczęli go nawiedzać wierzyciele (bez pretensyi do rewizyty). Bronił się od nich gałką niewidzialności, ale to tylko jego osobę ratowało od Leszna; sprzęty za to wszelakie tem swobodniej z przed nosa mu sprzątało.

W końcu byle się na ulicy pokazał, szarpano go za rękawy i za poły tak, że po dawnemu wyglądał oberwany, choć swoją drogą niesłychanym był bogaczem. Słowem... że — wyrażając się volapükiem na użytek szerokiej publiczności — obznajomiony będąc ze złą dolą, spadł z nieba swych marzeń, stłukłszy się na ziemi twardej rzeczywistości, skutkiem czego, stanowczo zwątpił w siebie. — »No! rozumie się w tem bieda, że nasz brat kimby on nie był, śledząc za postępem, nie tą drogą poszedł co naprzód idzie, ale tą co w tył. Tak znaczy: wielka u niego głupota. Czy cześć i sława mu za to? nie, czort go bierz! Ot co prawda. Smutno! Ale to drugie dzieło! Seryozno mi zdaje się, nie plusy u niego w głowie były a minusy.«

ROZDZIAŁ OSTATNI.

Głupi Gaweł wybiera się do Nirwany za poradą mądrości Fryderyka Wielkiego. — Jeszcze raz musztarda, ale już po zjedzonym obiedzie. — W jaki sposób Gaweł jechał nogami naprzód? — Padam do nóg od niego i od jego dziejopisarza. — Ostajcie z Bogiem.

Jakoż raz, kiedy nie mając już na czem (bo z pod niego wszystko powyciągano), na dyamencie swoim siedział głodny, słyszy, ktoś po schodach idąc sapie.

— Pewnie komornik — pomyślał Gaweł. — Poczekaj bratku, zjesz ty djabła, jeśli mi weźmiesz mój skarb jedyny.

T A D E U S Z W I Ś N I O W I E C K I .



PROJEKT NA POMNIK T. KOŚCIUSZKI.
(ODZNACZONY NA KONKURSIE LWOWSKIM III NAGRODA).

nico, zrobiło się to z następnego powodu:

Oto dni temu parę dano mu do odniesienia dziwną depeszę. Adresowana z Afryki (o której nigdy nie słyszał) i to do mieszkania znajdującego się pod strychem. Więc pomyślał, że zaszło tu jakieś nieporozumienie. Jakoż już ją miał żonie na papiloty oddać (miała na karku włosy które zawijała), kiedy wtem powierzono mu drugą pod tymże adresem, ale już z Ameryki. O Ameryce wiedział (jako o kraju z którego nie jedna gruba sukcesya kapie), więc choć to na strych (nawet, że właśnie najczęściej na strychy kapią te sukcesye) co tchu pospieszył oddać oba telegramy i nawet na wszelki wypadek, czapkę w rękę trzymał.

Niestety! musiał ją nazad na głowę włożyć, bo nie tylko na piwo nie dostał, ale się nawet nie dowiedział o co tu chodziło.

A chodziło tymczasem o rzecz grubej wagi. Oto w tych telegramach obaj bracia zaginięni zawiadamiali Gawła, że umarli, i że mu zapisują w całości dwa olbrzymie swoje dorobki. Na wiadomości tej Bóg wie jak długo jeszcze potem zarabiali reporterzy (po sześć groszy od wiersza) i to był jedyny na tem zarobek.

Koniec końcem, oto tedy w jaki sposób Gawł raz przecież w życiu naprawdę zostać mógł bogatym.

Ale go to chybiło. Taki już miał pech przedziwny. Cóż robić.

Zaczem, włożył ów dyament w kosz od katastrofora, powiedział temu ostatniemu, że ma jechać na Syryusza, wysadził go za okno, odetkał klapę od elektryczności i wio! Jedźcie sobie choćby na karku złamanie, jużście mi oba na nic!

Spytacie co on przez to chciał rozumieć? Oto poprostu życie sobie odebrać postanowił. Przysłowie mówi: »młody może umrzeć, ale stary musi.« On młodym już, a starym jeszcze nie będąc, wybrał drogę pośrednią. Powiedział sobie: spróbuję połknąć moją gałkę, na dwoje babka wróży. Jeżeli ją przelknę, będzie na świecie jednym mądrym więcej; jeżeli się udławię, jednym głupcem mniej.

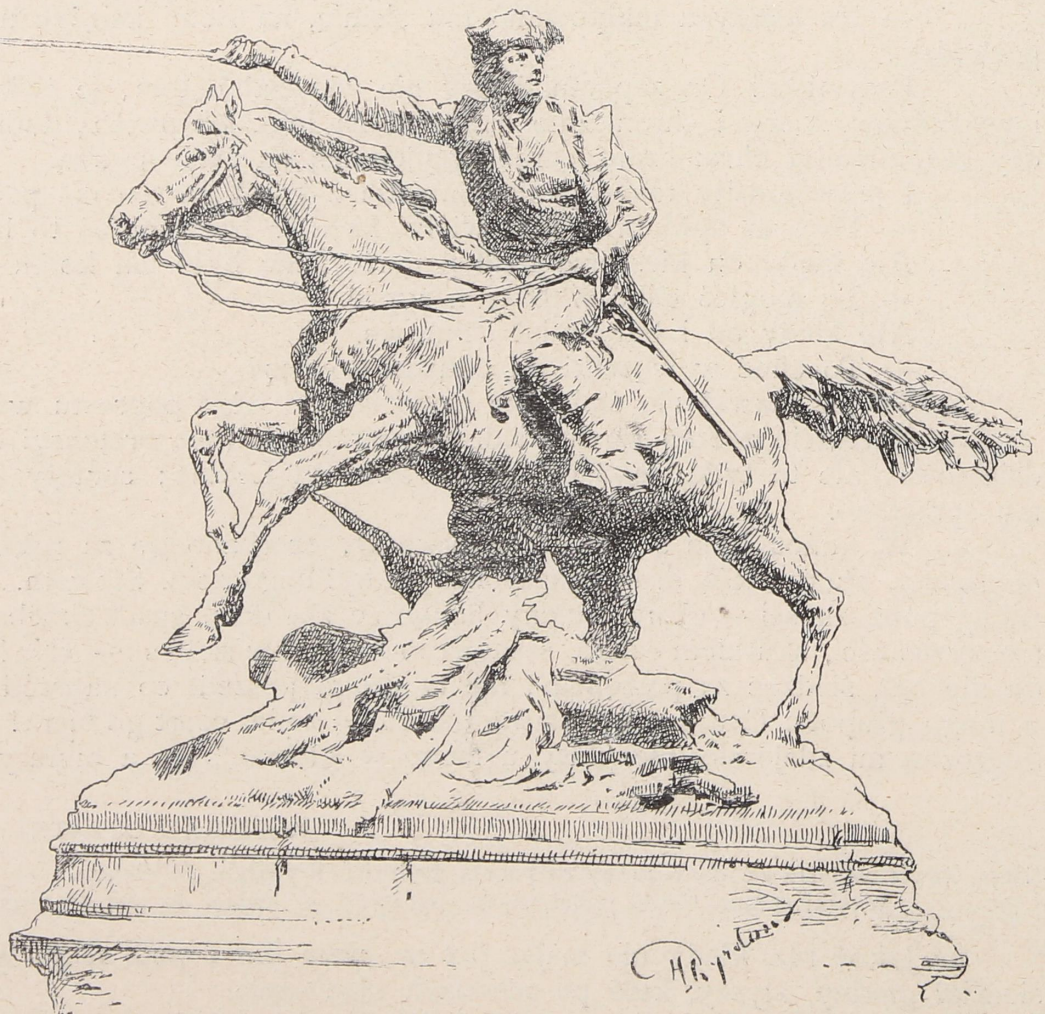
Wtem się zawahał, ale to trwało tylko chwilę, bo sobie wspomniął przemowę Fryderyka Wielkiego do żołnierzy bojących się francuskich kartaczy. — »Psubraty! — tak się wyraził ten król źle wychowany (było to pod Rossbach) — czyż to wy bez końca żyć chcecie?«

Więc wreszcie zrobił co zamierzył, i tak wypadło, że gałka w gardle mu uwięzła. Wtedy księżyc głową tylko pokiwał, i już było po wszystkim.

Tymczasem pokazało się, że postąpił zbyt pospiesznie i oprócz tego nie dość przenikliwie.

Bowiem ten który szedł po schodach, a następnie nie mogąc się dopukać, na gwałt kołatać począł, było tylko woźny z dwoma telegramami. Że się zaś spóźnił

J U L I A N B E Ł T O W S K I .



PROJEKT NA POMNIK T. KOŚCIUSZKI.
(ODZNACZONY NA KONKURSIE LWOWSKIM LISTEM POCHWALNYM).

OLGA BOZNAŃSKA.



STUDYUM.

I komar kobyłę zmoże,
Jeśli mu wilk dopomoże.

W dalszym ciągu, pochowano go w niemodnej trumnie, o mało przyzwoitej godzinie, w części cmentarza, która nie miała wziętości.

Wiózł go koń, który nie więcej jak dwadzieścia lat temu był jeszcze paradyserem, a dziś potrzeba go było nakryć kapą, aby nie raził wzroku opiekunów zwierzęcej doli żebrami swemi wypychającymi skórę i wypelzłym ogonem.

Powozący karawaniarz był niegdyś obywatelem ziemskim, który zrażony serwitutami, pomieniał majątek na dom w Warszawie, — ale i tu trafił na serwituty ze strony lokatorów, którzy nie tylko chcą, ale i przy dobrej chęci mogą mieszkać bezpłatnie. To mu włożyło na głowę kapelusz stosowany do okoliczności, a na grzbiet kurtę skrojoną według potrzeby głębokiego zasmucenia i wreszcie osadziło na koźle, zamiast co mógł za długi w kozie siedzieć.

Na ulicach któremi Gawła wieziono, stróżę gorliwie wzniecali obłoki kurzawy, któremi wiatr, jak zwykle bywa, bił prosto w oczy chudeuszów. Ale Gawel oczy miał zamknięte i już mu było wszystko jedno.

Jechał jak pan, prawdziwszy stokroć, niż był nim kiedy w życiu. Jechał jak pan i każdy mu się kłaniał, nie wiedząc nawet o tem, że to znaczy do widzenia.

*

Zaczem bądźcie zdrowi dobrzy ludzie. Żegnam was imieniem Gawła i proszę zarazem (ale już od siebie) nie mówcie o nim nic złego, pomni na to, że o zmarłych albo się milczy, albo się ich ile można chwali. Miejcie się dobrze.

Działo się to wszystko w Kiernozi. Anno (jak w »Precyozie«) me asino in quarto. Uniżony sługa.

FELICYAN FALEŃSKI.

PANNA Z POSAGIEM.

KOMEDIA W JEDNYM AKCIE.¹⁾

(Ciąg dalszy).

JADWIGA.

Jakto? o! za pozwoleniem...

ALBIN.

Tak jest... wieś polska, z małemi wyjątkami, jestto pustynia zaniedbana tak przez naturę jak przez społeczność. Nie brak wprawdzie entuzyastów, unoszących się nad urokiem sielskich rozkoszy, ale to są poeci, a wiadomo, że poetom wolno przesadzać; bądź co bądź, ci panowie wbrew swym uniesieniom, trzymają się pilnie wielkich ognisk oświaty, *au risque de se bruler les ailes...* i nie dziwię im się bynajmniej — co innego deklamować, a co innego ocierać się co chwila o rzeczywistość. Istotnie też u nas żyć na wsi, to prawdziwe poświęcenie, i rzadko kto robi to z zamiłowania.

JADWIGA (zimno).

Rozmaite są gusta.

P. LEONOWA.

A pan sam, czy gospodarz z poświęcenia, czy też z zamiłowania?

ALBIN.

Ja pani?... o! bardzo mało mieszkam na wsi, więcej przesiedzę w Warszawie lub za granicą; wyznaję ze skruchą, że nie wyżyłbym... i to całe szczęście, że moje środki pozwalają mi czynić zadość upodobaniom... o! nie dziwię się bynajmniej, że młode pary po ślubie uciekają do Paryża lub Wiednia.

LUDWIK (z intencją przycinania mu).

A jakże u pana idzie gospodarstwo?

ALBIN (krótko, nie patrząc na niego).

Mam rządce.

LUDWIK.

Dziwna rzecz jak się to dzieje na świecie, że ci co mogą nie chcą, a ci coby chcieli nie mogą. Ja gdybym miał moją własną chudobę, uważałbym za święty obowiązek użyć jej jako środka do celów, w urzeczywistnieniu których pewnoby mnie nie zastąpił pan rządca.

ALBIN (do Jadwigi, okazując spojrzeniem, że go niecierpliwi odzywianie się Ludwika).

Zresztą nie wiem jak tu państwo uposażeni jesteście co do towarzystw, ale co w mojej naprzykład okolicy, sąsiedztw zupełnie jak nie ma, a to co jest, tak tchnące parafiańszczyzną, tak nie mające najmniejszej idei o elementarnych prawidłach dobrego smaku i dystynkcyi... że prawdziwie...

LUDWIK (mentorskim tonem).

Rozruszać ich, oświecić, nauczyć elementarnej dystynkcyi...

ALBIN (irytując się).

Że prawdziwie... *c'est inoui...* a co tu robić bez stosownego towarzystwa w zimie naprzykład?...

LUDWIK (j. w.).

Książka!... (p. Leonowa mu grozi, Jan zwróciwszy uwagę na rozmowę, uśmiecha się).

ALBIN (ciągnąc dalej, bez zwracania uwagi na Ludwika).

Gdy śnieg usypie wały pod oknami, wiatr świszczący po kominach, wrony kraczą unosząc się chmurami po nad dziedzińcem... a, to trzeba szczególniejszej dobrej woli, wyraźnego zaparcia się, żeby wtenczas, gdy można sobie tego pozwolić, nie korzystać z przyjemności, jakich mogą nam dostarczyć wielkie miasta...

¹⁾ Zastrzegają się prawa spadkobierców autora wobec scen polskich. — Teatra, któreby chciały nabyć »Pannę z posagiem« raczą się zgłosić do Zygmunta Sarneckiego, Kraków, 34, ulica Szpitalna. (Przypisek redakcyi).

JADWIGA.

Biblioteki pan nie ma?

ALBIN.

Owszem, mam podręczny zbiorek... i wcale nie zły, najlepsze rzeczy z belletrystyki; oprócz tego trzymam kilka pism... *Journal amusant, Ueber Land und Meer, Les bons Romans*... to wszystko zaledwie zadawalnia mię w chwilach, gdy z konieczności zaglądam do domu... (ciszej, patrząc na Jadwigę) który zresztą może inny miałby dla mnie powab, gdyby...

SĘDZIA (z kanapy).

Kurczęta lubisz?

LUDWIK (skwapliwie, widząc że Albin nie słyzy).

Panie dobrodzieju, pan sędzia robi panu zapytanie.

ALBIN.

Przepraszam, nie uważałem...

SĘDZIA.

Pytałem się czy lubisz kurczęta...

ALBIN (zdziwiony).

Lubię... dla czego?

SĘDZIA (zadowolony, z amatorstwem).

Tak naprzykład z mizeryą... a teraz ogórki, to prawie nowalia... Lubisz ogórki?

ALBIN (krótko).

Ogórków nie jem... nie wolno mi...

SĘDZIA (zawiedziony).

Nie je ogórków!... (zamyśla się, bębniąc w stół palcami).

ALBIN (do Jadwigi).

Wracając do towarzystw wiejskich — rozumie się mówię o tych, które wolno nazwać parafianstyczną *par excellence* — przyznaj pani, że sam rodzaj ich rozrywek, sposób spędzania czasu, musi wpływać na tę grubość, szorstkość w obejściu...

JADWIGA.

Naprzykład?

ALBIN.

O kobietach nie mówię nic przez delikatność.

P. LEONOWA.

Owszem prosimy.

ALBIN (wymawiając się manierowanym giestem).

Impossible... co do mężczyzn, ci zachowali wszystkie nałogi ludów koczujących, a głosy nawykłe do zapasów z echami leśnymi, lub do nawoływania psów w kniei, nie są w stanie nastroić się do tonu, jaki panuje w przyzwoitym salonie.

JADWIGA (zimno).

Przyznam się, że nie rozumiem pana... wniosek podobny wydaje mi się zanadto naciągnięty...

ALBIN (cokolwiek zderutowany).

Ah! wierzaj mi pani, to dzicz, dzicz prawdziwa... (wstaje i idzie do świecy z cygarem, które mu było zgasło; Jadwiga spojrzeniem i wzruszeniem ramion porozumiewa się z p. Leonową; Ludwik usiadł przy Janie do którego mówi coś z ożywieniem).

SĘDZIA (n. s. wstając).

Raków nie lubi, ogórków mu nie wolno... (zaafektowany wychodzi na prawo).

ALBIN (zapaliwszy cygaro, wraca na dawne miejsce).

Pani zna Paryż?

JADWIGA.

Z opisów i opowiadań, ale nie byłam nigdy.

ALBIN.

I nie ciekawa pani zobaczyć?

JADWIGA.

Nie powiem, żebym nie była ciekawa, lub żebym nie pojechała bez przyjemności, jeżeli się kiedy wybiorę; ale żeby mnie to nerwowo, jak innych pociągało... broń Boże! Zresztą tyle się już nasłuchałem o cudach tej stolicy dzisiejszej cywilizacji, że znam ją prawie na pamięć. Oto i teraz świeżo, wiele szczegółów miałyśmy od pana Jana...

ALBIN (do Jana z żywością).

Byłeś w Paryżu?

JAN.

Byłem.

ALBIN.

Dawno?

JAN.

Wróciłem przed kilkunastu dniami.

ALBIN.

Tak! i nic nie mówiłeś... szczęśliwy!... ja nie byłem jak zeszłej zimy... (z ożywieniem) No, i cóż? jakże ci się podobało... pierwszy raz byłeś?...

JAN.

Pierwszy raz.

ALBIN (wstając).

Musiałeś unieść wiele miłych wrażeń... Świat tamtejszy... *dites-donc!*... niech mi to gdzie naśladować... (ożywiając się coraz więcej) Uderzyły cię zapewne przejażdżki koło jeziora Bulońskiego?... prawdziwa ekspozycja gustu i elegancji... *quel luxe des toilettes!* (ciszej) W roku zeszłym robiła furorę Dieudonet'ka... zakasowała wszystkich ekwipażem... *imaginez-vous, un attelage bleu*...

LUDWIK (drwiąc).

To musiało paradnie wyglądać...

ALBIN (do Jana).

W tym roku nie słyhać było o niej, *que je sache*...

JAN.

Nie wiem, nic tego wszystkiego nie poznałem... jeździłem tylko na wystawę.

ALBIN.

A! na wystawę... Długoś bawił?

JAN (wstając).

Trzy tygodnie... dłużej nie mogłem. Zanadto musiałem się rachować z funduszami, abym sobie mógł pozwalać przyjemności... (spoglądając na Jadwigę) które zresztą bynajmniej mnie nie nęciły. Pojechałem tylko w celu nauczenia się czegoś, a obejrawszy to co mnie interesowało, mianowicie wystawę rolniczą i narzędzi gospodarskich, i poznawszy Paryż, o ile się dało ogólnie, wróciłem co prędzej...

ALBIN (uderzając go po ramieniu).

Przepowiadam ci, *mon cher*, żeś już złapany. Pa-

ryż, to trucizna może, jak niektórzy utrzymują... ale tak słodka, tak ponętna, że zakosztowawszy jej raz jeden, tęsknisz do niej, łakniesz, pragniesz... Ręczę ci, że nie wysiedzisz w domu i co rok już będziesz się wymykał.

JAN.

Wierzę, że takie jest twoje przekonanie, ale przypomnij sobie o ile różnimy się w zasadach i w sposobie zapatrywania się na rzeczy. Ty mówisz przeciwko wsi, dążysz do ognisk gwarnych uciech... i nic dziwnego, kto na bicie serca widzi jedyne lekarstwo w laurowych kroplach, ten go nie zdolny pojąć... i bardzo naturalnie, że szuka wrażeń dla zmysłów...

ALBIN (zakłopotany cokolwiek).

Jakżeż znów tłómaczysz moje słowa... nie zrozumiałeś mnie.

JAN (z spokojnem uczuciem).

Dla mnie zakątek każdy może być miłym, gdy atmosferę jego rozjaśnia myśl pewna, gdy świeci mu obraz upodobany... o! człowiek wtenczas zdolny do czynów, któremi nie natchną zapewne krzyki gawiedzi, ani wdzięczenia się chociażby Paryża... Przypomnij sobie naszą dzisiejszą dysputę i nie dziw mi się.

JADWIGA (która spoglądała nań z zajęciem).

Jakaż to panowie mieliście dysputę? (Jan nie odpowiada).

ALBIN (n. s.).

Zdaje mi się, że zły chwyciłem się taktyki...

SĘDZIA

(we drzwiach wchodowych, patrząc na zewnątrz).

Ha! ha! ha!

LUDWIK (wstając).

Co się stało?

SĘDZIA (śmiejąc się).

Wyborny... daję słowo... pójďtecie no!... panie Albinie, proszę... Jasiu...

LUDWIK.

Dokąd?

SĘDZIA (j. w.).

Najeżdżam żrebca... Michałek z kredensu wziął się wsiąść na niego... (patrząc na zewnątrz) ha! ha! ha!... kręci się w kółko na miejscu... Jasiu! wsiądźno ty, bo gotów mi go znarowić... (do Albina) Albo może pan... (n. s.) Nie wiem czy mu wolno... (głośno) Jeździsz pan?

ALBIN.

O! jeżdżę... ale...

SĘDZIA.

Pójďtecie...

ALBIN (do kobiet ceremonialnie).

Panie pozwolą?

JADWIGA (zimno, wstając).

O! nie róbcie panowie żadnej ceremonii. (Mężczyźni wychodzą).

SCENA 12.

P. LEONOWA, JADWIGA, później LUDWIK.

P. LEONOWA (która także wstała, patrząc na Jadwigę z zajęciem).

Coś ty tak posmutniała Jadwisiu... taką cię widziałam ożywioną niedawno w ogrodzie...

JADWIGA.

A! nie pytaj mnie, bobym ci nawet nie umiała odpowiedzieć...

P. LEONOWA.

Ale przecie...

JADWIGA.

Zła jestem...

P. LEONOWA (śmiejąc się).

Ty!... na kogo?

JADWIGA (idąc do okna na prawo).

Na siebie i na wszystkich. (Spojrząwszy w okno z krzykiem) Ach!

P. LEONOWA.

Co to?

LUDWIK (który wrócił od drzwi).

Nie bój się pani o niego. Czyż nie wiadomo, że jeździ jak Renz... to dla niego jak bułka z masłem... (śmiejąc się) Pan Albin boby może dostał bicia serca, chociaż w nie nie wierzy... (zmieniając ton, do p. Leonowej) Uważała pani: to ach! Szczęśliwy Jaś... (do Jadwigi) Czy pani wie, że gdyby je usłyszał, przesadziłby przez ten dom jak przez baryerę.

JADWIGA (tupiąc nóżką).

Nieznosny pan jesteś, powiadam panu zawsze.

LUDWIK (kłaniając się poważnie).

Pani! tak już jestem z tem osłuchany, że...

P. LEONOWA.

Że co?

LUDWIK.

Że nie wierzę.

JADWIGA.

Zobaczysz pan, że pogniewamy się kiedy na prawdę... (Wychodzi na lewo).

LUDWIK.

E! i temu nie wierzę.

SCENA 13.

P. LEONOWA, LUDWIK.

P. LEONOWA (stając przed nim i załamując ręce).

Czego pan ją zawsze tak drażnisz? mój panie Ludwiku!

LUDWIK.

Ja?... ją?... pannę Jadwigę?... Mówisz pani tak, jakbyś nie wiedziała, że jabym jej nieba rad przychylić.

P. LEONOWA.

A sprzeciwiasz jej się pan?

LUDWIK.

Bom zły! (chodzi wielkimi krokami).

P. LEONOWA.

Na kogo?

LUDWIK.

Na siebie i na wszystkich!

PODŁUG FOTOGRAFII J. MIENA.



JAN MATEJKO.

JAN MATEJKO.



GUSTAW ADOLF PRZY GROBIE WŁADYSŁAWA ŁOKIETKA.
(PIERWSZY OBRAZ MISTRZA).

P. LEONOWA (śmiejąc się).

Dla czego?

LUDWIK (j. w.).

Ależ bo proszę pani, to trzeba być mazgajem... Ja, żebym był na jego miejscu, przez kij bym tamtego przesadził... musiałby skakać... (z giestem) tu!... publicznie!

P. LEONOWA.

Kto?... co pan gadasz?

LUDWIK (idąc za swoją myślą).

Właśnie wtedy pora okazać swoją wartość... podrosnąć na łokieć... Wszak emulacja to najdzielniejszy bodziec... (z gniewem) A ten ani be ani me, pozwala tamtemu głosić brednie jak z katedry i siedzi wdychając jak Filon pod jaworem!... Nie! to ostatnia pasya człowieka bierze...

P. LEONOWA (okazawszy giestem, że zrozumiała).

A!... albo pan nie słyszałeś jak go zbijał?

LUDWIK (chodząc poruszony).

Co mi takie zbijanie!

P. LEONOWA.

Ale panie Ludwiku, nie zapominaj pan, że prawdziwa miłość ludzi zmienia, że człowieka najśmielszego robi bojaźliwym...

LUDWIK (ruszając ramionami).

E!

P. LEONOWA.

Ale prawda, pan tego nie zrozumiesz... pewno nie kochałeś nigdy.

LUDWIK.

Ja? a to dla czego?... Któż to pani powiedział?

P. LEONOWA.

Pan byś potrafił?... Gdzież tam! taki trzpiot, szawławiła...

LUDWIK (urazony).

Błazenek, chcesz pani powiedzieć... bardzo dziękuję. Otóż powiadam pani, że kochałem i to kochałem uczuciem, o jakim wszystkie panie nie macie nawet wyobrażenia...

P. LEONOWA (żartobliwie).

Czy podobna! dawno?

LUDWIK.

Niedawno... parę lat temu.

P. LEONOWA.

I kogóż?

LUDWIK.

Kogo? (Rozczulając się) Znasz ją pani bardzo dobrze, jesteś jej przyjaciółką od serca... pani i ona to jedna osoba w dwóch postaciach.

P. LEONOWA (j. w.).

To może mnie?

LUDWIK.

Ale gdzież tam!

P. LEONOWA.

Dziękuję panu. Czyż to już rzecz niemożliwa?

LUDWIK.

E! bo mnie pani ciągnie za język. Ale czemuż nie mam powiedzieć... dziś mogę bezpiecznie... (ciszej) Tym przedmiotem była... panna Jadwiga.

P. LEONOWA.

Czy podobna!

LUDWIK.

Ach! pani, jak ja ją kochałem... com ja wycierpiał!

P. LEONOWA.

Prędzej bym się niewiem czego spodziewała...

LUDWIK (gorzko).

Naturalnie! dla tego, że byłem na pozór zimny, że uczucie to otaczało ją tylko niewiedomie, zdaleka... żem się nie zdradził ani słówkiem, bojąc się śmiechu szyderczego... żem się wystrychnął na błazna salonowego, dowcipnisią drwinkującego na zimno, aby wyjść uczciwie, z honorem i przygasić w piersi ten ogień, który tleć mógł tylko w tajemnicy...

P. LEONOWA (z współczuciem).

Biedny chłopiec!

LUDWIK.

O! tak, ognia tego nikt nie dojrzał... ona nawet... przed nią szczególniej strzegłem się wydać. Znadto miałem dumy. Bo kobieta najuczciwsza, z najlepszym sercem, ma swoje chwile zalotności; widząc swoją władzę nad mężczyzną, nie powstrzyma się, żeby jej nie użyć kiedy niekiedy, nie spróbować swojej potęgi, jak to mówią filozofowie *in anima vili*... Ale pani tego nie rozumie... (chodzi wielkimi krokami).

P. LEONOWA.

Ale rozumiem, rozumiem, mów pan...

LUDWIK.

I cóżby wynikło z tego, gdybym się był nie opamiętał? (z goryczą i ironią) Pan Ludwik, literat bez grosza przy duszy, człowiek tylko z głową i sercem, którymi gotów się dzielić z ludzkością, wdycha do milionowej dziedziczki! Gdzie sumienie? gdzie wstyd? czciciele złotego cielca ukamienowaliby mnie żywcem! A ona?... Tak ją kochałem, że strzegłem się stracić bożyszczka z piedestału, na który wyobraźnia moja je podniosła... bo choćby nawet najprzychylniej przyjęła moja miłość, nadeszłaby chwila, w której stanąłby przed nią człowiek z prawnymi tytułami do starania się o rękę panny z posagiem. Wtedy usłuchałaby naturalnie głosu rozumu i wymagań światowych, a na mnie spoglądać by zaczęła z politowaniem... (gwałtownie) A ja bym tego nie zniósł!... (łagodniej) Widziałem to wszystko od razu i dla tego zapanowałem nad sobą. Parę tygodni bólu dla ocalenia honoru swego, co to znaczy!!

P. LEONOWA.

I kochając ją tak jak pan powiadasz, odkochałeś się w parę tygodni?... otóż to mężczyźni!

LUDWIK.

Otóż to jest kobiece odezwanie się! (Patrzy na nią kiwając głową; potem mówi szyderczo) Dręcz się, męcz się, służ, kochaj, póki nie powiem: basta! Wynoś się teraz, boś już niepotrzebny... Ale prędzej ani się waż! Cóż to panie macie za wyobrażenie o nas?

P. LEONOWA.

Ale panie Ludwiku, wierzaj mi, że o panu mam jak najlepsze, i nikt cię pewno więcej nie ceni ode mnie... (podając mu rękę) No, daj mi pan rękę na zgodę. Wierzysz, spodziewam się, że masz we mnie przyjaciółkę.

LUDWIK (zmieniając ton).

To dajże mi pani dowód... bo ja chciałem pani zrobić poufne zapytanie. To wszystko było wstępem tylko, w którym zabrnąłem dalej niżem był powinien... (ogląda się i mówi ciszej) Jak pani sądzisz, na jakiej stopie stoi sprawa Jasia?

P. LEONOWA (unikając odpowiedzi).

To szlachetność! Nie tylko zrzeka się przedmiotu ubóstwianego, ale jeszcze swata go przyjacielowi...

LUDWIK.

O! nie myśl znów pani, żeby mnie to tak wiele kosztowało, żebym spełniał jaki czyn bohaterski. U mnie w piersi grają tony tak wysokie, tak wzniosłe i święte dla mnie, że na sprawy sercowe spoglądam nieraz z politowaniem, z góry, jak Jowisz na świat z Olimpu. Nie wiem co ze mnie będzie w przyszłości, ale dziś czuję często, że mi świat za ciasny, w myśli powstają obrazy, na określenie których ludzkiej mowy za mało. Pojmujesz więc pani, że pożar było czem

(Dokończenie nastąpi).

przygasić; dziś ja pannę Jadwigę kocham, ale jak brat najczulszy, a nie mogę jej dać lepszego dowodu moich uczuć, jak życząc jej za męża Jasia...

P. LEONOWA.

Zupełnie podzielam pańskie przekonanie.

LUDWIK.

A to chwała Bogu.

P. LEONOWA.

Tylko niecierpliwi mię to, że tak mało ma ufności w sobie.

LUDWIK.

I mnie to samo... Jak my się zgadzamy!... (całuje ją kilkakrotnie w obie ręce) Pani kochana, czyby to nie można tak jakoś co wymyślić... żeby to popchnąć.

SCENA 14.

P. LEONOWA, LUDWIK, JAN (wchodzi drzwiami w głębi).

JAN.

Ludwiku, pan sędzia cię prosi... masz przynieść jakiś dokument na pokazanie Albinowi.

LUDWIK.

Ide... (cicho do Leonowej) Napomnij go tu pani... dodaj mu odwagi... zrobisz pani dobry uczynek... (wychodzi).

JÓZEF BLIZIŃSKI.

KONIEC MORSTINA.

STUDYUM HISTORYCZNE Z CZASÓW JANA SOBIESKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Sprawa Morstina wywołała zainteresowanie się niezmiernie na dworze wersalskim i ożywioną wymianę dyplomatycznej korespondencji. Król Jan prosił Ludwika, aby nie zostawiał w charakterze swego przedstawiciela człowieka, który przez przyrzekanie korony wojewodzie ruskiemu starał się zamącić spokój społeczeństwa. Równocześnie w imieniu senatu domagał się Konstantyn Lipski arcybiskup lwowski, odebrania markizowi de Vitry akredytywy, gdyż knuł zamachy przeciw królowi i Rzeczypospolitej¹⁾. Kiedy oba listy z życzeniami wysyłano do Wersalu, wiercono tam jeszcze skutkiem chwiejnych, niedokładnych depesz ambasadora w nawrócenie się Jana i w jakieś szczęśliwe wypadki... Ludwik dowiedziawszy się o scenie w dziekanii, gdzie podskarbiego posadzono pierwotnie o autorstwo projektu detronizacyjnego, a markiza zaledwie jako pomocnika wymieniono, polecił de Vitry'emu najlepiej ani źle ani dobrze o Morstynie nie mówić i tylko w razie gdyby koniecznie żądał, udzielić mu poparcia u Jana²⁾. Ale de Vitry stracił już wszelkie znaczenie, sam w najgorszym, nieznośnym położeniu pokrzepiał się optymizmem, a isierka nadziei nasuwała przed oczy jego szerokie horyzonty złudzeń. Z początkiem kwietnia zawrzała w sejmie burza, albowiem zjawił się wniosek o poddanie artykułów traktatowych pod badanie, którego inicjatorowie pragnęli w ten sposób zacząć ważność ligi i zerwać obrady. Ambasador odżył na chwilę... Tu energia, taktyka króla zadały cios iluzjom, przeszły one

kończącą ogniową próbę; zaraz jakby w odzew na niewinny postulat rozpowszechniono pogroźkę o zwolaniu pospolitego ruszenia, a Jan 5 kwietnia nad wieczorem wezwał do siebie wielkiego podkanclerzego koronnego, kazał mu podobno ułożyć uniwersały i trzymać takowe w pogotowiu¹⁾.

Król po długiej walce i wielu troskach zwyciężył, naród był z nim a on z narodem.

W nocy między drugą a trzecią z 17 na 18 kwietnia sejm szczęśliwie się zakończył. Daremnie usiłował de Vitry oddać tę rzeczywistość, daremnie sprzedał na potrzeby agitacji własne srebro stołowe, senator przezeń najęty do założenia protestu za 1.000 dukatów, wypowiedział posłuszeństwo, nikogo nie mógł znaleźć do wykonania operacji²⁾. Z prawdziwie kłopotliwego udręczenia wyrwał markiza list Ludwika, nakazujący mu starać się o pożegnalne posłuchanie. Jako powód odwołania przytaczał Ludwik nieokazanie przyzwoitych względów swemu przedstawicielowi i oskarżanie go wraz z wielkim podskarbiem i stronnikami Francji o zamachy i knowania, zmierzające do pozbawienia Sobieskiego korony. Ludwik nakazał de Vitry'emu oświadczyć w obliczu króla polskiego, że pomysł detronizacji był falsyfikatem sporządzonym przez austriackich mężów stanu dla spotwarzenia wrogów habsburskiej polityki i na audyencji »de congé« zaprzeczyc prawdziemu oskarżeniu, jakoby zamierzał wydrzeć Janowi panowanie³⁾. Ambasador z przyjemno-

1) A. h. P. T. VII. str. 355.

2) Tamże. str. 360, 361. depesze z 17 i 22 kwietnia.

3) Tamże. str. 373. sq. Depesza Ludwika do de Vitry'ego. 22 kwietnia 1683. Urzędowo powiadomiono Jana o odwołaniu ambasadora 29 kwietnia.

1) A. h. P. T. VII. str. 342. Oba listy z datą 20 marca 1683.

2) Tamże str. 365. sq. 1 kwiecień 1683.

ścią spełnił zlecenia instrukcyi, ale jakoś pod rozmaitemi pozorami nie wyznaczano terminu na posłuchanie. Obawiano się, że markiz nie pożegnawszy osobno królowej, jak wypadało według ceremoniału dworskiego, rzeczpospolitą opuści. Musiał tedy chcący nie chcący przysłuchiwać się jak szlachta, pospieszywszy ze stolicy do domów, szerzyła po zaściankach wieść o okropnym spisku, jak król w posejmowym uniwersale spowiadał się z odkrycia haniebnej intrygi. A jedyny to w swoim rodzaju uniwersał! Jan opowiadał od początku historię o podskarzim, a opowiadał ją »przed pojedynczymi tej ojczyzny synami«, aby zagrozić przystęp prywatnym informacyom, usunąć niewłaściwe podejrzenia, zjednoczyć umysły i zjednoczone ożywić duchem obywatelskiego poświęcenia i zgody. Od początkowego do końcowego wiersza zawierał uniwersał niejako usprawiedliwienie się Jana, przedstawienie rachunku moralnego z obchodzenia się z podskarzim, aby pokątne, złe podszepty »nie bronily błędu z uszczerbkiem prawdy«¹⁾. Król nie przemawiał językiem zwycięzcy co wielki odniósł wewnątrz kraju tryumf, ale językiem skromności, bojącej się posądzenia o skrzywdzenie kogoś. Rozsądek i wyrachowanie polityczne dyktowały zachowanie tonu umiarkowanego, nie występowania z radością z powodu pokonania uporu części szlachty. Ważnem było zadaniem utrzymać naród w przychylności dla ligi, rozproszyć niedowiarstwo w austriackie przymierze, gdyż w połowie maja miały się zebrać sejmiki relacyjne, a na nich mogłyby niektóre województwa oprzeć się uchwałę o ściągnięciu podatków, a tak pomnożenie liczby wojska poszłoby w odwłokę. Kiedy sejmiki zagajono, nie schodziły z ust szlachty nazwiska Morstina i ambasadora. W Sandomierzu gardłowano gwałtownie przeciw »zdrajcom«, w Opatowie kasztelaniec czechowski Ligęza zdawał sprawę z dziejów odroczonego procesu, a doktor praw Malinowski w dosyć nietrzeźwej gadaninie próbował kosztem zestopniowania winy podskarbiego oczyścić hetmana²⁾. Najradkalniej postąpiono sobie w Środzie. Ze Środy wyprawiono do Warszawy z instrukcją Wojciecha Chrzastowskiego i Grabskiego, aby żądali zwołania dwuniedzielnego sejmu nadzwyczajnego w celu rozstrzygnięcia natychmiastowego sprawy Morstina i zażaleń o defraudacye przezeń popełnione. Posłowie ci mieli nalegać i wpłynąć na zamianowanie następcy w urzędzie



DR. STANISŁAW MADEJSKI.
MINISTER WYZNAŃ I OŚWIATY.

dzie podskarbiego, gdyż w Środzie panowało mniemanie, że Morstin nie piastował już swojej godności¹⁾. Wyprzedzając chronologicznie inne wypadki należy wspomnieć i o generale pruskim, który zagajono dopiero 16 lipca pod laską księdza biskupa warmińskiego. Tutaj oczy wszystkich zwracały się pytająco na starego Bielińskiego. Wojewoda jednak wymawiał się od zabrania głosu, na sejmie spokojnie przysłuchiwał się oskarżeniu zięcia, pozostał też wiernym temu systemowi w Marienburgu, aby nie drażnić wrażliwości króla i wszystkich dbających o dobro Rzeczypospolitej. Stany pruskie wybrały rzecznikiem swoim biskupa Radziejewskiego i poleciły wyrazić królowi przez jego usta żywe współczucie i zapewnienie niezachwianej wierności, oraz prosić o wymierzenie winnym kary zgodnej z literą prawa²⁾. Ogółem bardzo korzystnie wypadły dla Jana sejmiki relacyjne, prawie wszędzie potępiono wicherzycieli i żądano zamknięcia w więzieniu Morstina dopóki cyfry nie dostarczy³⁾.

Markiz de Vitry doczekał się 28 maja o szóstej wieczorem pożegnalnej audyencji, która odbyła się w Wilanowie wobec licznego pocztu senatorów, dygnitarzy i urzędników koronnych. Ambasador w myśl instrukcyi Ludwika uroczyście wyparł się zamiaru detronizowania Jana i zaprotestował przeciw fałszywości oskarżenia. Król wysłuchał mowy w majestatycznym pograżony milczeniu i ani słowem markiza nie zaszczycił. Kanclerz tylko Wielopolski odrzekł, że Vitry zapomocą niedozwolonych sztuczek zrazu przeskadzał zawarciu ligi, a po ułożeniu traktatu starał się ją zerwać i dodał w imieniu Jana: »ze względu na najjaśniejszego króla Francyi wasza excellencya otrzymuje uwolnienie«⁴⁾. Ustały

wszystkie związki łączące markiza z Polską; powszechną otoczony nieufnością, niepopularny, zmuszony prawie do opuszczenia stanowiska, chcąc w oczach opinii uchodzić za ofiarę niesłusznej napaści, kazał przed wyjazdem drukować mowę wypowiedzianą w Wilanowie i rozrzucić

¹⁾ Archiwum XX. Czartorys. rkp. nr. 419. Instrukcyja. 18 maj 1683.

²⁾ Lengnich: Geschichte der preussischen Lande. T. VIII. str. 231. Sejmik pruski zerwany w maju zebrał się w lipcu.

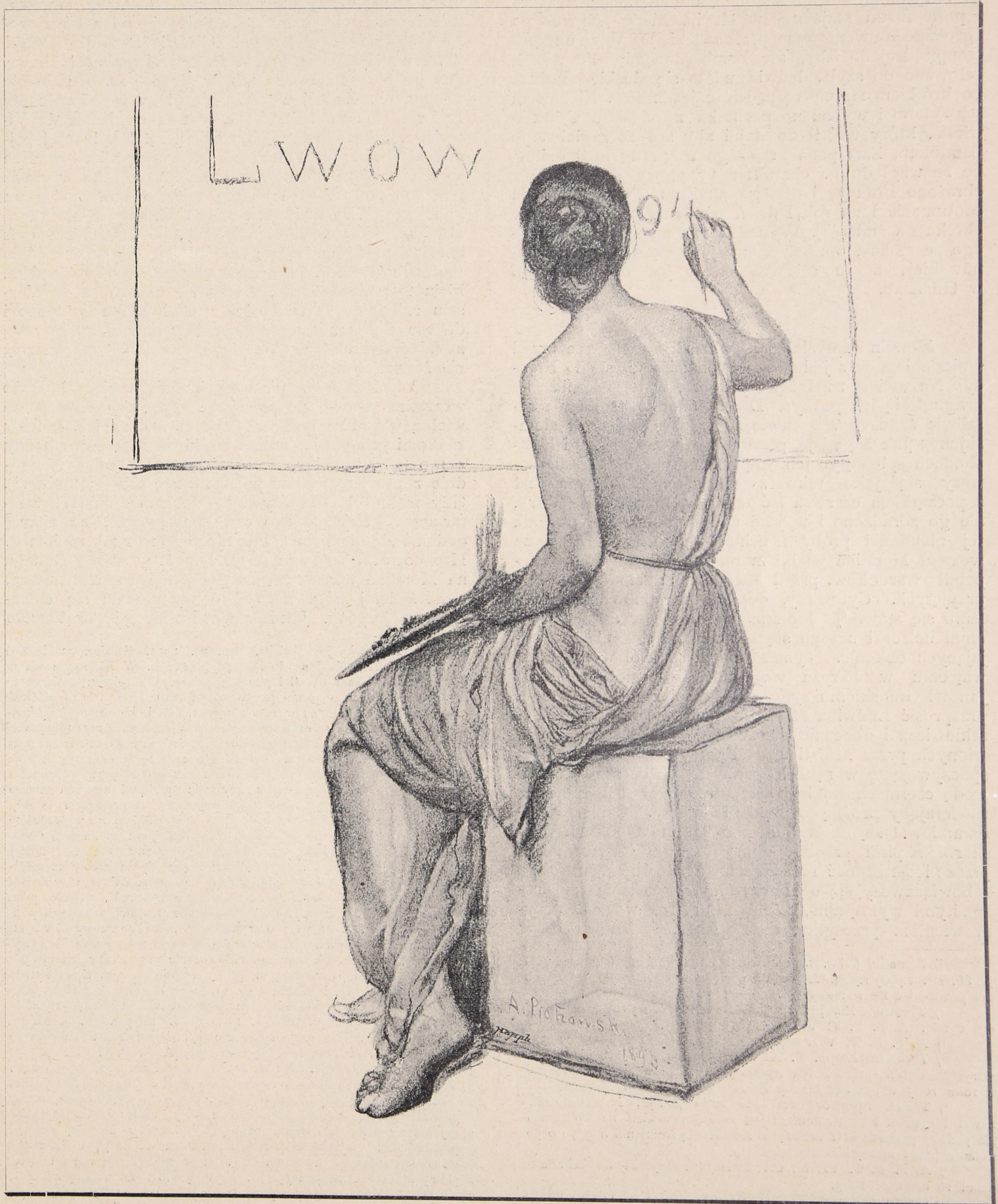
³⁾ A. h. P. T. VI. nr. 56. str. 116. Relacya nuncjusza apost. do sekretarza stanu. 26 maj 1683.

⁴⁾ A. h. P. T. VII. str. 377. sq. depeza de Vitry'ego do Ludwika. 29 maj. »j'estois obligé de déclarer pnbliquement en présence de tout ce qu'il y avoit là de sénateurs qui représentoient le corps de la République de Pologne, qu'il n'y avoit rien de sy faux que ce que l'on m'imputoit d'avoir fait des propositions qui tendissent à faire passer la couronne de Pologne en d'autres mains«. — Theatrum Europ. T. XII. str. 570. sq. — Contarini w relacyi z 19 czerwca przytoczył słowa odpowiedzi kanclerza. cf. Klopp. l. c. str. 172.

¹⁾ Żalusk: Epist. histor. famil. T. I. p. 2. str. 809. sq. — 3 maj 1683.

²⁾ Pamiętnik Sandomierski. T. I. r. 1829. str. 23—25. »Zdanie Malinowskiego o A. Morstynie«.

ANTONI PIOTROWSKI.



SZTUKA POLSKA ZAZNACZAJĄCA DATE, WYSTAWY W 1894 ROKU.

ją między szlachtą¹⁾. Na ostatku przykrych doznał przygody. Krajczy litewski Tyszkiewicz wtargnął z garścią ludzi 29 nad ranem do klasztoru Braci Miłosierdzia, gdzie de Vitry najmował mieszkanie i strzelał do ambasadora z poza furtki stajennej w chwili, kiedy zażywał po ogrodzie konwentowym przechadzki. De Vitry umknął czemprowadz do izby, ale bombardowanie nie ustało, celowano do szyb, ledwie udało się służbie markiza po krótkim starciu rozpedzić najezdniców. Niebawem schwytano i wybadano pacholka z oddziału Tyszkiewicza, który wrócił do stajni aby szukać zaginionego bandoletu. Żart pana krajczego tragiczny miał epilog, bo ze względu na charakter urzędowy de Vitry'ego obrażono Francję i dlatego skazano Tyszkiewicza in contumaciam na rok i dzień więzienia w więzy, a pacholka na śmierć²⁾. Wypadek ten wypędził de Vitry'ego ze stolicy, opuścił ją nazajutrz po audyencji wilanowskiej, a 12 czerwca bawił już od kilku dni w Gdańsku.

* * *

Morstin zamyślał jak widzieliśmy jeszcze przed wniesieniem w sejmie oskarżenia schronić się do Francji. Na uwieży trzymały go dobra, dlatego koniecznie pragnął się ich pozbyć. Dwór podobno psuł mu straszliwie zamiary w sprawie sprzedaży majątków ziemskich³⁾. Jak się zdaje, powiodło mu się po długich zachodach spieniężyć ich część u przyjaciół⁴⁾. Załatwwszy się jako tako z nieruchomością zamierzał z początkiem czerwca iść w ślady markiza de Vitry, ale go zdradzono i wyjazd udaremiono⁵⁾. Z powodu tej nieudanej próby i uchwał sejmików relacyjnych wezwał Morstina wielki marszałek koronny, aby dopełnić warunków przed dwoma przeszło miesiącami przyjętych. Cytowany, dopiero po ponownym powołaniu się stawił⁶⁾. Morstin nosząc się w duszy z planami ucieczki uczeplił się systemowi odwlekania i wymijających obietnic. Tymczasem zlecił król w lipcu bawiającemu w Paryżu wojewodzie czerniechowskiemu Janowi Gnińskiemu, synowi podkanclerzego koronnego, przeprosić Ludwika za nietaktowne postępowanie Tyszkiewicza i ubocznie starać się o wydobywanie zastawionych przez Morstina we Francji klejnotów i cyfry, spoczywającej w rękach pana de Callières⁷⁾. Wojewodę czerniechowskiego zaopatrzono w list Morstina zawierający prośbę o wydanie klucza. Callières dorozumiewał się naturalnie pod jakim naciskiem podskarbi napisał prośbę, mimo to zdyskredytował go przez nieostrość i niezręczność. Morstin mianowicie zobowiązawszy się dostarczyć cyfry zasłaniał się rozmaitymi wykrętami, to niby Callières zwlekał z wyprawieniem przesyłki, to zaginęła, to znowu dwór

¹⁾ Contarini (relac. 19 czerwca. l. c.) i Puffendorf (lib. XVIII. §. 86. str. 1466) sądzą, że de Vitry nie odważył się tyle na audyencji powiedzieć ile w mowie rozrzuconej wydrukować kazał.

²⁾ Theatrum Europaeum. T. XII. str. 570. sq. dep. de Vitry'ego 6 maj. (A. h. P. T. VII. str. 381).

³⁾ A. h. P. T. VII. depesza de Vitry'ego. 14 maj. str. 371, 372.

⁴⁾ Theatrum Europ. T. XII. str. 570. sq. Powiedziano tu, że wszystkie dobra sprzedał. Nie zgadza się to z prawdą, gdyż na sejmie w roku 1685 wspomnieli biskup Załuski o reszcie dóbr Morstina.

⁵⁾ Tamże. Sprawozdawca »Theatrum« podaje, że aresztowano nawet Morstina. I ta wiadomość jest mylną, albowiem na wolnej stopie później pozostawał i zresztą w źródłach są wzmianki li tylko o powołaniu przed marszałka.

⁶⁾ A. h. P. T. VI. nr. 68. Relacja nuncjusza do sekretarza stanu. 16 czerwiec 1683.

⁷⁾ Theatrum Europ. T. XII. str. 572. — Cyt. relacja nuncjusza z 16 czerwca. — List Jana do żony 28 wrzesień 1683. (B. o. M. cz. III. nr. 154).

wersalski wzbronił odkrywać znaki liczbowe, aż tu nagle z ust samego Callières'a dowiedział się Gniński, że cyfra dochowała się w nienaruszonym stanie. Callières żadną miarą nie chciał jej powierzyć wojewodzie i widocznie pragnąc uwolnić się od natarczywości Gnińskiego, obiecywał odesłać klucz do Polski przez umyślnego gońca, a za powód podawał obawę, aby go nie odmieniono lub w drodze na poczcie nie zgubiono¹⁾. Żadnej wszakże nie ulega wątpliwości, że Ludwik idąc za wskazówką w tym względzie de Vitry'ego, zakazał istotnie wydać cyfrę. Nie inaczej pojmował sprawę król Jan, jak łatwo wywnioskować ze słów jego listu do żony pisanego ze Śląska w czasie pochodu pod Wiedeń: »daję tedy o tem znać panu kanclerzowi, że cyfry są, ale że ich wydać nie chcą, aby już pan podskarbi wiedział, że zginieniem cyfr ani zakazem ode Dworu wynieść ani się wydrwić nie może«²⁾. Gniński nie mógł poszczycić się powodzeniem, klejnotów nie odebrał, klucza nie uzyskał, a w Wersalu robiono mu trudności z udzieleniem audyencji de congé, lękano się bowiem, aby odwzajemniając się za niegrzeczność de Vitry'ego, podobnie jak markiz nie żegnał królowej.

W Polsce w pierwszych dniach sierpnia było wszystko gotowe do pochodu, rycerstwo ruszało na wielką wyprawę przeciw Turkom. W rzędzie hufców znakomitych panów stanął i oddział Morstina złożony z 150 ludzi konnicy, zaciągnięty pod chorągwie zgodnie z przyjętem przez podskarbiego zobowiązaniem³⁾. Gdy piękne wojsko ożywione duchem geniusza militarnego, który na jego czele postępował, na ziemię oddaliło się niemiecką, kraj nieco opustoszał, zaniemiał. Kto pozostał w domu posyłał myśl w stronę Dunaju, na Morstina nikt szczególniejszej nie zwracał uwagi, teraz śmielej mógł marzyć o wyniesieniu się cichaczem z ojczyzny. Jakoż równocześnie gdy oręż króla

¹⁾ Biblioteka Jagiellońska. rkp. nr. 1151. Gliwice. 22 sierpień 1683 rok. List króla Jana do biskupa płockiego. W liście tym mamy dowód jak król sam określał plany Morstina. Oto pisze: »Wszak to tak wiele świeżych pokazało przykładów i teraz lubo szło o zdrowie nasze daliśmy to (proces) w ręce Rzeczypospolitej, bo res onej agebantur, która aby była salva tenemur per conscientiam, przysiągłszy onej tak solenniter in nostra inauguratione i że jesteśmy os ex ossibus eius per conscientiam. Dziękujemy jednak wielce za tę konfidencją et hanc realitatem et generositatem, która decet takiego biskupa i senatora a oraz, że powinność adimplet przysięgi: quidquid nocivum severo etc... Pilnie tedy żądamy, abys tych więc ludzi na przysyłym da Bóg sejmie in facie reipublicae wyjawil, tych tak wielkich Rzeczypospolitej zdrajców. Z Paryża jako odbieramy z dzisiejszej od wielmożnego wojewody czerniechowskiego, ablegata naszego poczty, nie masz żadnej obawiania się od morza okazji i owszem gdy się te rzeczy ex originalibus po co tu umyślnego posłać mają, na pana Wittego wotować będą, znaczną z niego obiecują uczynić sprawiedliwość. Tenże pisze w tymże liście, że de Callières'owi korespondentowi wielkiego podskarbiego oddał list od niego o wydanie cyfr, który nie wymówił się jako udawał tenże wielki podskarbi ani zakazem ode dworu, ani zginieniem cyfr, ale że ich mu konkretdować nie może, aby ich nie odmieniono, i że ich przez inszą, umyślną przeszle okazyą. Chciejże tedy uważać Przewielebność Wasza jako to tu error errorem trudit i jako wraz w większe pan podskarbi cum republica zachodzi labirynty.« — Nadto list Jana do żony. Gliwice. 23 sierpień. 1683 r. (B. o. M. nr. 142). — W sprawie korony należy uwzględnić jeszcze list Ludwika do Jabłonowskiego. Hetman żalił się dwa razy (A. h. P. T. VII. str. 383) na fałszywość oskarżenia. Ludwik w odpowiedzi niemniej się oburzał. »Daleki byłem — pisał — od wiary, aby król i Rzeczypospolita polska za zbrodnię poczytywali przywiązanie, które najwybitniejsze osoby z pośród senatu i szlachty po wszystkie czasy świadczyły dla interesów mojej korony i dla zachowania szczerych stosunków ze mną i moimi poprzednikami. Najbardziej jednak zdziwiło mnie, że pana kłamliwie oskarżono o układy z markizem de Vitry w sprawie zerwania korony z głowy króla obecnie panującego, abys ją mógł na własną włożyć.« (A. h. P. T. VII. str. 384. sq. 28 czerw.).

²⁾ B. o. M. cz. III. nr. 142. cyt. list. 23 sierpień 1683.

³⁾ A. h. P. T. VI. nr. 212. Komput wojska.

Jana wiekopomne odnosił zwycięstwo, gdy kwiat szlacheckiego społeczeństwa przelewał krew u stóp Kahlenbergu za Chrześcijaństwo, za Polskę zarazem, Morstin w niepamięć puszczając słowo honoru, wyjechał ze stolicy do Gdańska¹⁾. Zanim jeszcze Morstin opuścił Warszawę, województwo sandomierskie w obawie, aby z kraju nie umknął, prosiło Lubomirskiego przez wojewodzica ruskiego, marszałka koła swego, o zatrzymanie go w stolicy. Lubomirski licząc się z tem żądaniem przypomniał Morstinowi słowo honoru i jakby poprzednie było przestarzałem albo niewystarczającym, odebrał drugie. W odpowiedzi przesłanej Sandomierzanom po wyjeździe Morstina z Warszawy, tłumaczył się wielki marszałek koronny, że nie miał go prawa jako nieosądzonego aresztować ani »modo violento« ani »civiliter«, gdyż egzekutywa z dekretów trybunalskich albo sejmowych należała wyłącznie do grodów, ziem, powiatów²⁾. Opinia wytykała powszechnie Lubomirskiemu porozumienie się ze zbiegiem, a Beaujeu niezły znawca społecznych stosunków polskich, w formie pewnika wypowiedział to przekonanie.

Król dowiedziawszy się o podróży Morstina kazał Lubomirskiemu obłożyć w Gdańsku rzeczy jego tymczasową konfiskatą z powodu niewydania w Paryżu klejnotów Rzeczypospolitej³⁾. Półtora miesiąca bawił Morstin w Gdańsku, a dopóki przebywał w murach tego miasta leżącego w granicach polskich, nikt nie mógł ukracać jego wolności. Czekał zdaje się tak długo na żonę i dzieci. Kiedy się z niemi złączył, potajemnie umknął w ostatnich dniach października z miasta i udał się w upragnioną pielgrzymkę do Francji⁴⁾. Podobno przed ucieczką do Paryża szukał poparcia u Fryderyka Wilhelma. Elektor napisał list do arcybiskupa lwowskiego, aby się ujął za przesładowanym i wyrobił mu możność bezpiecznego jawienia się na najbliższym sejmie, ale strwożony Lipski czempredziej przesłał list elektorski Maryi Kazimierze z uniżonym objaśnieniem, »iż żadnej z Morstinem ligi nie miał ani też mieć żąda«⁵⁾. Zbiegł Morstin z rodziną do Francji pod opiekuńcze skrzydła Ludwika, dla którego dzielnie odrabiał w Rzeczypospolitej pańszczyznę polityczną, zbiegł otrząsając na zawsze proch z nóg swoich na granicach kraju rodzinnego; do ojczyzny już nie miał wrócić nawet martwym ciałem...

V.

Spór o sąd. — Wyrok w sprawie skarbu. — Zwrot klejnotów. — Ostatnie chwile na obczyźnie. — Rady polityczne. — Śmierć Morstina. — Pułkownik Château-Vilain. — Wielkie dziedzictwo. — Zakończenie.

Od chwili opowiedzianych wypadków minęło niespełna półtora roku. Sejm zebrał się w Warszawie mimo protestów Litwinów, którzy na podstawie prawa

¹⁾ Tamże. nr. 242. — Relacya nuncjusza apostoła. Kraków. 17 września 1683. — Nuncyusz 17 września pisze, że Morstin »parę dni temu« opuścił Warszawę, musiało to zatem nastąpić koło 12. dnia zwycięstwa wiedeńskiego.

²⁾ Archiwum XX. Czartoryskich. T. Naruszewicza. nr. 179. respons marszałka wiel. koronnego wojewodzicowi ruskiemu.

³⁾ B. o. M. cz. III. nr. 154. Jan do żony. 28 września 1683. na wyspie Schütt.

⁴⁾ Nabelak: Listy Piotra de Noyers. str. 78. d. 5 listopada 1683 pisze des Noyers: »podskarbi cichaczem wyniósł się z kraju«. — Skrzydyłka i G. B. U. »Listy z czasów Jana III. i Augusta II.« nr. I. str. 95. list Kryńskiego do Benedykta Sapięhy, 25 paźd. 1683. Kryński donosi: »Tymi dniami (t. j. koło 25 paźd.) pisał Morstin do królowej, że jedzie do Francji.«

⁵⁾ Archiw. XX. Czartorys. T. Naruszew. nr. 179. »List z Krakowa. 4 grudzień 1683.«

kolejności żądali odprawienia narad w Grodnie. Na sporach o niewłaściwość miejsca i o wybór marszałka zmarnowano cały miesiąc, dopiero 15 marca padły głosy na Gielbuta, pisarza wielkiego księstwa litewskiego. O wyborze zawiadomiła króla osobna deputacja, której zlecono prosić o wznowienie odroczonego na Morstina sądu. W izbie poselskiej pierwszy poruszył sprawę ex-podskarbiego Grzymułtowski składając wotum senatorskie, nie oświadczał się on ani za ani przeciw procesowi, a to nie w celu zachowania bierności, tylko z powodu cierpkości, rozgoryczenia, bo na przeszłym sejmie mowa ganiąca sumaryczne postępowanie zjednała mu niepopULARNOŚĆ między młodszą bracią szlachecką i podejrzenia, jakoby z rozmysłem bronił winnych i zamierzał powstrzymać wymiar sprawiedliwości. Powierzchna polityka obojętności kipiała stokroć potężniejszą namiętnością i niechęcią względem Jana, niż głośna opozycja, gdyż wojewoda z natury obdarzony gadatliwością i gorącą krwią nie umiał ukryć co się działo w jego duszy i w sercu, uderzającym współczuciem dla Morstina i rankorem dla dworu. Jak się wyraził: musiał dzielić boleść z człowiekiem, który nieosądzony zostawał w »rosole«, musiał żałować i Rzeczypospolitej »bo podobno pisać będą niedługo w historyi, że polski szlachcic i senator inauditus et indefensus quasi innocens periiit«¹⁾. Grzymułtowski liczących znalazł naśladowców i zwolenników. Wielu posłów było za odłożeniem procesu do »szczęśliwych czasów«, sam król wraz z gronem austriackich partyzantów popierał to zapatrywanie; właściwie winowajca zeszedł z oczu, oskarżenie straciło wartość aktualną, spełniło już przed dwoma laty ważne zadanie, a o moralną stronę sprawy ani Janowi, ani stronnictwu dworskiemu bynajmniej nie chodziło. Część szlachty jednak nie chciała słyszeć o zabagnieniu procesu i groziła odstąpieniem od narad, dopokąd sejm nie postanowi sądu. Pośród powszechnego rozdojenia odezwał się Grzymułtowski tym razem otwarcie, szczerze, a to co mówił zmierzało do odroczenia sądu, było mieszaniną obrony Morstina i powtórzeniem podejrzenia o wartości przejętych dokumentów, zarazem żółciową skargą na stronnictwo przy wydzierżawianiu dochodów skarbowych. Wojewoda poznański nie wahał się orzec, że króla podburzono »przeciw wiernemu i życzliwemu sobie senatorowi«, dlatego zwróciwszy się do Jana wniosła przytoczył sentencję: »nulla vox maiestate imperantis dignior quam ligatum se legibus profiteri!«²⁾ Śmiałe słowa Grzymułtowskiego były wybitną oznaką czasu i zmiany usposobienia szlachty; na sejmie roku 1683 niktby się nie odważył wypowiedzieć podobnie suchwałych twierdzeń. Nareszcie zgodzono się na sąd, wyznaczono w tym celu osobną komisję czyli deputację, a ponieważ z powodu samowolnego wydalenia się Morstina wyrok miał zapaść zaoczny, więc wyznaczono dla bronięcia interesów obwinionego patronów. Oskarżenie rozpadało się na dwie grupy, jedna obejmowała nadużycia skarbowe, druga zbrodnię stanu i zbrodnię obrazy majestatu³⁾. Ale pomimo wybrania deputacji garść adherentów francuskich upierała się przy odroczeniu procesu, kto wie nawet czy markiz

¹⁾ Jabłonowski A. Źródła dziejowe. T. I. str. 135. »Votum Grzymułtowskiego na sejmie roku 1685.«

²⁾ Ostrowski-Daneykowicz. l. c. T. I. str. 22 sq. Dwie mowy Grzymułtowskiego.

³⁾ Archiw. XX. Czartor. Teki Naruszewicza nr. 181. »Synopsis relacyi sejmku warszawskiego r. 1685.« rkp.

de Béthune świeżo z powrotem posłany na ambasadę do Warszawy, nie przyczyniał się do utwierdzenia zwolenników odwłoki w wytrwałości. Rozstrój jaki zapanował w izbie i popadanie w ustawiczne sprzeczności scharakteryzował najudatniej biskup Załuski: »już też rozumu nie staje — wołał — czegośmy wczoraj chcieli, dziś nie chcemy, nie mamy kompasji nad Waszą królew. Mością, który się całego impendis ojczyźnie!«¹⁾ Załuski, wierny odgłos dworu, oświadczył wyraźnie, że Jan każdej chwili za wolą stanów odstąpić jest gotów od sprawy, byle potem przewrotnie nie tłómaczono sobie powolności. Zatarg skończył się ponownym uchwaleniem sądu, dnia 3 kwietnia rozpoczęła komisya w senacie czynności.

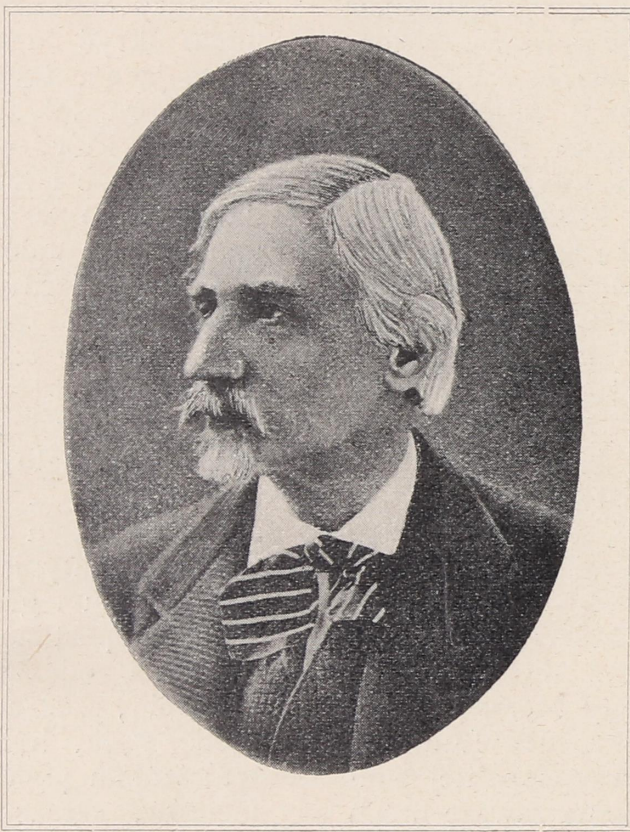
Badanie rachunków skarbowych ograniczono wyłącznie do epoki po ostatnim sejmie grodzieńskim, albowiem sejm ten kwitem generalnym poświadczył Morstinowi rzetelne wyliczenie się z administracji finansowej²⁾. W związku z tem badaniem należało się ogłosić podskarbstwo koronne wakansiem, gdyż Morstin uciekając z kraju oprócz dostarczenia na wyprawę wiedeńską konnicy, żadnego nie dopełnił warunku, nie zwrócił przywileju na urząd, a przez to formalnie nadal godność piastował. Tymczasowo powierzył król prowizoryczny zarząd skarbu Marcinowi Zamoyskiemu wojewodzie lubelskiemu, późniejszemu rzeczywistemu następcy Morstina.

Dnia 10 kwietnia odczytano w izbie senatorskiej wyrok »in causa fisci«. Wielkie podskarbstwo koronne zaliczono między wakanse, skazano Morstina na oddanie królewskich klejnotów w przeciągu trzech miesięcy »in specie« tak co do ilości jak i wagi, obżałowany miał z dwoma równymi mu stanem i urodzeniem świadkami zaprzysiądz tożsamość kosztowności; nadto ponieważ nie dostarczył do skarbu za ostatnie półtora roku dzierżawnego z mennicy, skazano go na spłacenie takiej kwoty, jaką mennica w ciągu powyższego czasu w dochodach przynosiła, mianowicie na 360.000 złotych polskich, a sumę tę miał uiścić natychmiast, w okresie trwającego sejmu, pod karą wymierzaną ukracającym dobro publiczne. W dekrete zaznaczono, że wyrok nie wyzwolił obżałowanego ze stanu oskarżenia, albowiem szereg zażaleń innych w zakresie skarbu odłożono do chwili, w której złożą rachunki od czasu otrzymania ostatniego generalnego kwitu³⁾. Rzeczpospolita posiadała sposoby na zreali-

zowanie postanowień dekretu, mogła zasekwestrować i sprzedać pozostałe dobra Morstina. Owe dzierżawne z mennicy przeznaczono na żołd dla wojska, a skazanemu osobiście kazano przybyć do Skarszewa w województwie kaliskiem i tam złożyć przysięgę w sprawie autentyczności klejnotów.

Sąd połowicznie wywiązał się z zadania, rozkażkowano wyrok, oprócz rachunków pozostawały do rozważenia skargi na »plus oferencyą«, to jest czy istotnie wydzierżawiano różne działy dochodów publicznych, więc cła, myto, komory, nie temu kto zaofiarował znaczniejszą cenę licytacyjną, ale temu kto się potajemnie większem rękawicznym wkupił w łaski podskarbiego, bo odzywano się, że Morstin po dziesięć tysięcy dukatów ścigał od kompetentów¹⁾. Dekret obudził w sejmie niezadowolenie zarówno obrońców jak przeciwników Morstina; najwięcej narzekał woje-

woda poznański, niezwyčajnie oburzony, że wyrok odczytał wielki referendarz, a nie instygator koronny Sebastyan Gilbaszewski²⁾. Niektórzy posłowie upominali się znowu o sąd w sprawie zdrady stanu, a koroniarze nie chcieli zezwolić na wciągnięcie do konstytucyj uchwały zastrzegającej odprawianie sejmów na przemian to w Warszawie, to w Grodnie, dopóki król nie przyrzekł spełnić tego żądania. Pomimo obietnicy Jana zaniechano dalszego postępowania procesualnego; na najbliższym sejmie z roku 1688 zupełnie ostygły zapaly szlacheckie, nikomu nie śniło się wznawiać uprzykrzonych kłopotów, na najcięższych zarzutach porosła trawa zapomnienia, zaszczerpiona widocznie przez rozmyślną odwłokę. Ostatnią nić wiążącą bezpośrednio Morstina z krajem rodzinnym utworzyły klejnoty skarbu koronnego. Po zerwaniu sejmu grodzieńskiego z 1688 roku przez Szólkowskiego,



KAROL KRUZER.

Litwina, odbyła się rada senatu, która zastanawiała się nad kłopotliwym położeniem rzeczypospolitej w myśl porządku dziennego ułożonego przez kancelaryę królewską. W dwunastym punkcie programu zapytywano, jak należy postąpić z kosztownościami, które odesłał Morstin na ręce zięcia, starosty marienburgskiego. Ponieważ przesyłka nadeszła do kraju w okresie trwania sejmu grodzieńskiego, a Morstin zamiast przybyć osobiście, na piśmie wyprawił przysięgę, więc chodziło o rozstrzygnięcie, czy godziło się w tej formie przyjąć wróconą narodowi własność, czy też decyzję zostawić rzeczypospolitej przez odłożenie sprawy do przyszłego sejmu³⁾. Zgoda zapadła na korzyść ostatniego wniosku,

z Volum. legum. T. V. str. 727. Dekretu w dosłownem brzmieniu niepodobna było odszukać, nie wciągnięto go nawet do metryki koronnej, chociaż w archiwum warszawskiem istnieją posyty z tych lat.

¹⁾ Załuski: Mowy na radach etc. str. 48.

²⁾ Usiłowano nawet podkopać powagę wyroku przez zarzucanie niekompetencji sądowi. Uderzano mianowicie na to, że komisya senatorska sprawę rozstrzygnęła, ale zamknęto usta oponentom oświadczeniem, iż cały senat łącznie z królem zgodził się i zatwierdził wniosek komisji (synopsis relacji etc. l. c.).

³⁾ Załuski: Epistolae histor.-famil. T. I. p. 2. str. 1073.

¹⁾ Załuski: »Mowy na radach y seymach«. Oliwa. 1689. str. 47.

²⁾ Volum. legum. T. V. str. 554. Konstyt. sejmu r. 1678/1679. Na sejmie tym z powodu wydania kwitu zastrzeżono sobie wyłącznie prawa do pewnych sum, w sprawie których miał zawyrokować trybunał skarbowy.

³⁾ Theatrum Europaeum. T. XII. str. 851, 852. Najlepiej dochowano tu treść wyroku. Treść ta zgadza się z osnową dekretu zamieszczoną w cytowanym rękopisie »synopsis relacji sejmu warszawskiego.« W rękopisie niniejszym znajdujemy pogmatwane szczegóły o mennicy. Lengnich (Geschichte. T. VIII. str. 249) ogólnikowo wspomina o sprawie. Że kwota wynosiła 360.000 złp. dowiadujemy się

a na razie paczka obłożona pieczęciami komisji skarżewskiej miała pozostać w przechowaniu u starosty Bielińskiego¹⁾. Sejm warszawski z roku 1690

¹⁾ Tamże. Vota Załuskiego i marszałka Lubomirskiego d. 16 i 20 marca. str. 1081, 1088.

uznał za wystarczającą przysięgę piśmienną, kazał zabrać klejnoty z depozytu i na dawnym w skarbie złożać miejscu¹⁾.

¹⁾ Tamże. »Załuski amico confidenti.« str. 1162.

ERNEST DEICHES.

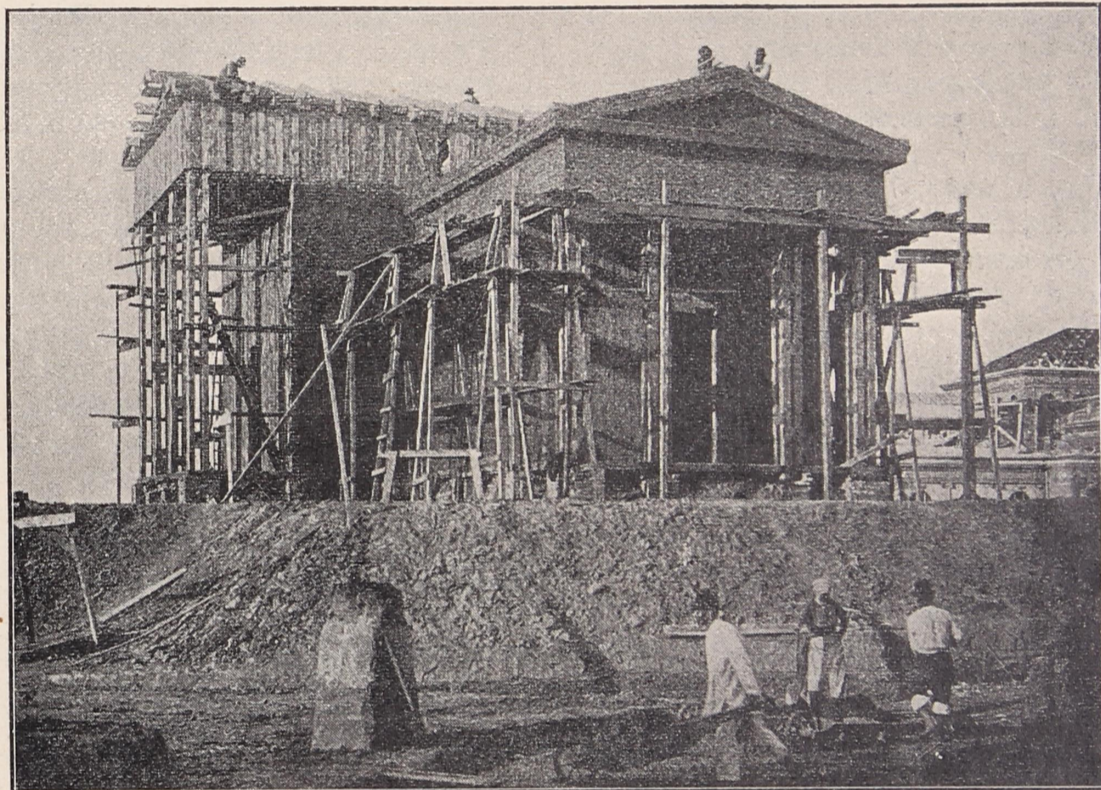
(Dokończenie nastąpi.)

KAROL KRUZER.

Ostatni z rodu, a przynajmniej z konara, który wyrósł w granicach dawnej Rzeczypospolitej; przodek jego Eneaszy przybył z Holandii za panowania Jana Kazimierza; za Chocim i Wiedeń otrzymał indygenat

rozporządzał sumy, na budowę teatru krakowskiego. Za życia jeszcze złożył na ten cel 50 000 rubli z warunkiem, by na liście ofiarodawców nie figurowało jego nazwisko. Rys to znamienity. Na tem wszakże

POWSZECHNA WYSTAWA KRAJOWA WE LWOWIE.



PAWILON ARCHITEKTURY.

w 1683 r., po usunięciu zaboru tureckiego osiadł na Podolu, na świeżo nabytym zagonie. Ojciec imieniem Prymus, dawny legionista, był właścicielem Karpowic, wsi położonej w Proskurowskim powiecie. Tutaj przyszedł na świat Karol w 1814 r. Wychowaniem to Krzemienieckiego liceum, marzyciel, poeta, podróżnik przez długie lata; utwory swe wydał w sześciu tomach, pod tytułem: »Przekłady i rymy własne« (1875—1886) w stu egzemplarzach, dla przyjaciół, więc te nie wchodzi w rachunek. Prawa do wdzięczności ogółu nabył na innej drodze — ofiarą niewielkiej, ale całej, jedynej jaką

nie koniec; majątkiem w ziemi, jako odziedziczonym po rodzicu, rozporządzić się nie chciał, nie miał do tego moralnego prawa, jak sam powiadał, ale resztki, jakie po zgonie jego pozostaną, wycofane ze sprzedaży ruchomości, a wynoszące 15.000 rubli, do uznania Rady miejskiej miasta Krakowa przeznaczył. Umarł w lipcu 1889 r. Na innym miejscu podamy szczegóły tego ciekawego żywota; tych kilka słów niech będzie skromnym pomnikiem na jego samotnej i opuszczonej mogile.

DR ANTONI J.

Z »EXODUS«.

(ROZDZIAŁ XVIII).

A onego czasu
Wyruszył był Amalek z hufcami mnogimi,
Wśród trąb grzmotu i mieczów chrzęstnego hałasu
Izraelowi czynić wstąpił w rafidzkiej ziemi.

A gdy kroczył przez pola, pyszny i zuchwały,
W miecącej ognie zbroi, na czele tysięcy:
Ziemia drżała i drzewa korony schylały,
A na ród Izraela padł przestrasz jagnięcy.

W onczas do Jozuego rzekł Mojżesz: A oto
Wybierz męża i wynijdź w pole przeciw temu,
Przez ręce moje ręce Pana ich wygniotą,
Bo jest Pan na niebiesiech mocny, ufaj Jemu.

Oto jutro o brzasku dnia wstąpię na wzgórze,
W ręce mojej od Boga daną łaskę dzierżąc,
I mur Amalekowej mocy na szczyt zburzę,
Bo jest Pan na niebiesiech. Więc idź, Jemu wierząc.

Tak rzekł. I szedł Jozue precz i wybrał męża,
A przez noc całą ognie świeciły z stron obu,
I chrzęst czyniły groźny ostrzone oręże,
A w górze na niebiosach była cisza grobu.

A gdy rano zabłysła zorza i na trawy
Cień rozpoczęły rzucać palm liście zwieszzone,
Przy grzmocie trąb ruszyły wojowników ławy
Bić mieczem o pancerze, jak młotem o brzoźę.

Zaś Mojżesz szedł na wzgórze, po oboim boku
Mając za towarzyszy Chura z Aaronem:
Stanął i spojrzął, kędy krwiożerczemu smoku
Rówien, walczył Jozue żelazem czerwonym.

I podniósł Mojżesz rękę, a wraz, zbywszy mężstwa,
Cofnął się wstecz Amalek, dając Panu chwałę,
Jak się łód cofa, gdy go leśna wstrzyma gęstwa,
Podobny strumieniowi, co napotka skałę.

A gdy opadła ręka Mojżesza — jak kłosy
Wiatr w tył zgina, podobny orłowi z błękitów
Grożącemu jagniętom owcy krętowłosej:
Amalek król wstecz hufce parł Izraelitów.

Ale ręce Mojżesza osłabły, więc ona
Para mężów, Aaron i Chur, kamień spory
Wziąwszy, podłożył podęń i siadł, a ramiona
Oparłszy na ich barkach, podźwignął do góry.

I stali po oboim Mojżeszowym boku
Chur i Aaron, a zaś u stóp ich, na dole,
Walczył Jozue, rówien krwiożerczemu smoku,
Kitę hełmu na wichrów rozpuściwszy wolę.

I gdy blask szedł po mieczów skrwawionych tysiącu,
I migwały na zbrojach łskliwe błyskawice;
Mojżesz, jako słup biały stał na wzgórze w słońcu,
Topiąc w błękitnym niebie natchnione źrenice.

I widział tam twarz Pańską, podobną czerwono
Świejącemu się słońcu, jak żar, gdy przestworza
Schną w ogniu huraganów, gdy okręty toną
I ryczącemu niebu wtóruje ryk morza.

I widział tam twarz Pańską, podobną do grzmotu
Wiszącego w obłokach i do oceanu
Grożącego burzami i podobną złotu
Co weseli ubogie i wodom Jordanu —

Umiłowanym wodom wielkiej, świętej rzeki,
Płynącej gdzieś w odległej obiecanej ziemi,
Wśród palm sennych i cichych, chroniących od spieki,
I kwiatów woniejących woniami cudnymi.

Patrzył w twarz Pańską, skrytą, a Jemu widzialną,
I drżał, jakby ogniste gromu pióropusze
Wisiały mu nad głową, a wraz tryumfalną
Czuł moc przenikającą całą jego duszę.

I czuł, jak z duszy jego przez wzniesione ręce
Idzie dreszcz o kłach białych i strach krwawooki
I lęk, lodowych węzów ciskający wieńce,
W Amaleka czerwone hufce od posoki.

A nie ustały ręce Mojżesza od trudu,
Aż do zachodu słońca, gdy nieprzyjaciół
Jozue, wódz zwycięzki wybranego ludu,
Gnał przed sobą, jak powódź gna stepem bawoły.

KAZIMIERZ TETMAJER.

LISTY ANDRZEJA EDWARDA KOŹMIANA.

(1829 — 1864).

Jednym z charakterystycznych znamion dzisiejszej epoki jest zupełne niemal zniknięcie z widowni literackiej rodzaju, który niegdyś, nie tak zresztą dawno, bo u schyłku zeszłego i w początkach bieżącego wieku, wybitną i ważną w piśmiennictwie naszym odgrywał rolę. Dziennikarstwo, które rozrosło się i spotężniało, a dziś wszystkie niemal dziedziny publicznego i prywatnego życia zagarnia pod swe panowanie, wyrugowało prawie zupełnie literaturę pamiętnikową, wyrugowało dawny — tak ponętny i miły — zwyczaj pisywania obszernych listów, obejmujących swą treścią nie tylko prywatne stosunki korespondujących osób, ale i szeroką spraw publiczną dziedzinę, oświecaną poglądem osobistym piszącego. Ta literatura chwytająca na gorącym uczynku szczegóły, stosunki i zdarzenia w ich naturalnym porządku, odsłaniająca naturę ludzką, spisywana pod bezpośrednim wrażeniem chwili — bez namysłu i bez zamiaru olśnienia czytelnika, bez premedytacji historyka zawodowego — była w naszych szczególniejszych stosunkach pierwszorzędnym, a czasem jedynym źródłem do trafnego ocenienia ludzi

i wypadków w pewnych okresach naszych dziejów porzobiorowych. Dość wspomnieć pamiętniki Kitowicza, Wybickiego, pamiętnik Stanisława Augusta lub Kilińskiego, wspomnienia i pamiętniki Niemcewicza, a po nich całe szeregi późniejszych, dopełniających pamiętnikarzy, których spuściznę w ostatnich dopiero latach drukiem ogłoszono; dość przypomnieć nieprzebrane bogactwo materiału zawartego w listach poetów naszych, aby ocenić ważność i doniosłość tego rodzaju literackiego dla historyi. To też z coraz większym zajęciem zwracamy się do owych żywych świadectw przeszłości, coraz większą przywiązujemy do nich wagę i z najwyższym uznaniem witamy każdy taki przyczynek. Rodzina Koźmianów dostarczyła piśmiennictwu naszemu bogatego zbioru wspomnień równie w formie pamiętnikowej jak i w listach, odzwierciedlających wybornie ludzi i stosunki. Dzięki niezwyklej sumienności z jaką dwa pokolenia tej rodziny wywiązały się z podjętego zadania, literatura nasza posiada dziś stuletnią prawie kronikę, która wprawdzie omawia prywatne rodzinne stosunki, niemniej jednak ca-

łością swą ogarnia rozległy horyzont spraw publicznych, literackich i społecznych ostatniej życia polskiego doby. Patriarcha rodu Koźmianów, Kajetan, autor »Ziemiaństwa« i »Stefana Czarnieckiego«, założył niejako podwalinę tego gmachu, spisując swe głośne trzytomowe »Pamiętniki«, obejmujące okres od r. 1780 do 1810; syn jego Andrzej Edward Koźmian poprowadził zaczęte dzieło dalej, obejmując w swych »Wspomnieniach« czasy od r. 1810 do 1830, obecnie zaś staraniem trzeciej generacji Koźmianów ukazuje się na widok publiczny dalszy ciąg i dopełnienie tej zajmującej kroniki, obejmujące jeden z najciekawszych okresów, mianowicie czasy od 1829 do 1864 roku. Tem dopełnieniem są ogłaszane obecnie w *Przewodniku naukowym i literackim* żywe zajęcia budzące »Listy Andrzeja Edwarda Koźmiana«. Jestto korespondencya prywatna do druku wcale przez autora nie przeznaczona. Nie mogli się jednakże spadkobiercy spuścizny tej oprzeć pokusie ogłoszenia jej, zawiera bowiem mnóstwo nieznanych i zajmujących szczegółów dotyczących przeważnie spraw publicznych, dostarcza tyle i tak różnorodnego materiału dla historyka mało badanej i błędnie ocenianej epoki, że wydanie tych listów było obowiązkiem sumienia rodziny, której się za to szczerą wdzięczność należy. Opublikowanie zapisków z wielu względów jest ważnym. Raz, że są one dopełnieniem cennych pamiętników Kajetana Koźmiana; powtóre, że obejmują okres bardzo dotąd ciemny — a rozświetlają stosunki i życie wielkiego odłamu Polski, pracującej na obczyźnie nad odrodzeniem ojczyzny. Zasługują one też także na sumienne studia i uwagę powszechną z tego względu, że są świadectwem zdarzeń i wypadków, spisaniem pod świeżym wrażeniem przez człowieka światłego, dystyngowanego i bezstronnego, który posiadając rozległe stosunki, niejednokrotnie czynny brał udział w wielu robotach, a żył z ludźmi, którzy pierwszorzędą w owych czasach odgrywali rolę.

Andrzej Edward Koźmian — czytamy w przedmowie wydawcy »Listów« — ciągle niemal był czynnym, biorąc udział w życiu literackim, towarzyskim i politycznym danej epoki. Należał on do pokolenia, które łączyło gorącą miłość ojczyzny z wielkim zamiłowaniem stosunków towarzyskich, światowych — i był pod tym względem wybitną i typową swego czasu osobistością. Ulubieniec salonów warszawskich, mile widziany gość w paryżkich, miał rozliczne relacje; sam zaś odznaczał się wykwintnym polorem, który staje się coraz rzadszym wśród obecnego pokolenia. W listach drukiem obecnie ogłoszonych uwidocznia się w całej pełni właściwy mu dar umiejętnego chwytania w lot zdarzeń i spisywania najważniejszych spostrzeżeń i uwag o ludziach znaczących, tak z dziedziny światowej, literackiej, jak i politycznej. Doniosłość materiału tem większa, że przedstawiają się w nim w jednolitej ciągłości wypadki życia polskiego we wszystkich jego tonacjach, odcieniach i zmianach, w okresie między dwoma katastrofami 1831 i 1864 r. tak w kraju jak i za granicą. Autor bawi na obczyźnie i tam spisuje rzeczy naocznie widziane, wypadki i stosunki, w których niejednokrotnie sam czynny bierze udział, z kraju natomiast dochodzi go częsta i obfita w wiadomości korespondencya, z której szczegóły wciela do swych listów i wspomnień. A gdyby już przyszło wynaleźć jakiś charakterystyczny rys, który w listach A. E. Koźmiana przewija się jak srebrna nitka barwnej i bogatej tkaniny, to rysem tym byłoby doskonałe uwydatnienie charakterystycznego naszego obłędu,

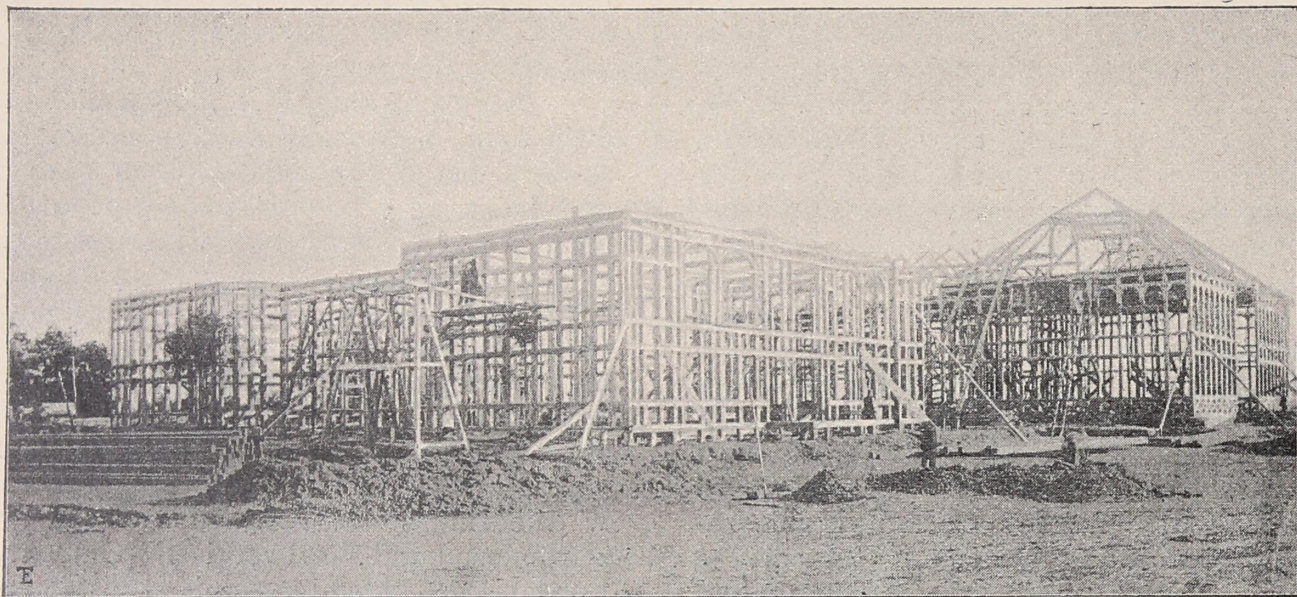
który cechuje politykę polską w okresie ostatnich katastrof, obłędu wiary w obcą pomoc, a w szczególności, w pomoc Francji. Osobiste stosunki z najwybitniejszymi współczesnymi figurami w Paryżu, jak z ministrem Walewskim, z rodziną Czartoryskich, której był zaufanym, z Rogerem Raczyńskim i ks. Pauliną Metternichową, ułatwiają Koźmianowi zbadanie najtajniejszych zamysłów polityki Napoleona III. Jest niemal u źródła tych robót i sam do nich czynną przykładą rękę, stąd świadectwo jego ważne, ciekawe i rzucające nowe światło na wiele spraw, których źródła fałszywie sobie tłómaczono.

Korespondencya A. E. Koźmiana obejmuje cztery duże tomy podzielone na trzy części. Część pierwsza zawiera wstęp obejmujący okres 1829 i 1830 i przynosi jaskrawy i zajmujący opis pobytu autora za granicą. Są tu dwa ostatnie lata restauracji Burbonów i panowania Karola X, a na tem tle szeroko malowany obraz ówczesnego dworu i wielkiego świata paryskiego i londyńskiego. Opowiadanie kunsztowne dodaje mu niemało wdzięku, a choć dotyczy obcych spraw i stosunków, przecież czuć tu tło rzeczy i spraw polskich, czuć duszę Polaka, nie spuszczonego oka ze spraw sobie najbliższych. Urozmaicają tok sprawozdań zboczenia w dziedzinę spraw literackich, echa walki klasyków z romantykami, sylwetki współczesnych osobistości kreślone dosadnymi rysami. Powstanie 1831 r. odrywa autora od wiru wielkiego świata. Koźmian wstępuje do służby dyplomatycznej i bierze czynny udział w akcji, niestety udaremnionej. Po upadku sprawy wraca do dziedzicznego majątku Piotrowic w Królestwie Polskim i od tej chwili, dzieląc czas między zajęcia gospodarskie i literaturę, pisze swe przepiękne *Listy*. Rozpoczynają tę kolekcję korespondencya do dwóch braci stryjecznych: Jana, późniejszego księdza, i Stanisława, znanego tłómacza Szekspira, a wśród nich znajdują się także listy do Fr. Morawskiego i listy Kajetana Koźmiana. Te ostatnie są wielce znamienne ze względu na różnicę poglądów i przekonań ojca i syna. Wyłania się z nich doskonała charakterystyka autora »Ziemiaństwa«, przedstawiciela duchowego zachowawczej polityki polskiej, tudzież stosunek jego do syna, który nie zdołał się jeszcze otrząść ze złudzeń romantyzmu i porywów zapału dla sprawy. Część pierwsza »Listów« odtwarza okres porewolucyjny: czas od 9 listopada 1833 do 15 kwietnia 1856. Rzeczą znamioną, że wszędzie w listach tych odbija się ówczesny każdorazowy duch społeczeństwa. Po latach 1831 lub nawet smutnej pamięci roku 1848 czuć w nich ponurą grozę dziejową. Andrzej Edward Koźmian boleje nad losem ojczyzny, a ból ten podziela z nim razem sędziwy jego ojciec Kajetan. Gdy wyjedzie do wód kreśli zajmujące obrazy swego tamże pobytu, maluje konterfekty spotykanych rodaków lub obcych wybitniejszych osób; gdy wyjeżdża do Warszawy, już duszą całą i istotą swą staje się Warszawianinem, spisuje wszystkie widziane lub zasłyszane szczegóły, zbacza w zapiskach do wszystkich dziedzin życia. Maluje np. literackie salony, ilustruje je zajmującymi a bardzo trafnie odtworzonymi sylwetkami współczesnych, opisuje stan umysłów i stosunek narodu do wrogiego rządu. Ze spokojnej Warszawy przynosi się Koźmian do Paryża i tam rzuca się w wir stolicy świata, gdzie spędza czas w rozległym kole znajomych i przyjaciół, wśród najsympatyczniej dlań usposobionego otoczenia, dla którego jest pożądanym towarzyszem. Ma zapewniony wstęp do dworu, bywa

na balach u ks. Matyldy i hr. de Morny, szkicuje pełne trafnej charakterystyki portrety wybitniejszych kobiet i mężczyzn z towarzystwa i dyplomacy. A w tym zgiełku wielkoświatowym nie spuszcza z oka interesów narodowych. Baczny okiem śledzi przebieg sprawy włościań-

cznego przyjaciela, generała Franciszka Morawskiego. Z tego pobytu w Wielkopolsce do wspomnień spisanych wcielił autor jedną z najtrafniejszych charakterystyk ludzi i obyczajów w Poznańskim w owym okresie, spisana w wytwornym i dowcipnym piórem, z ta-

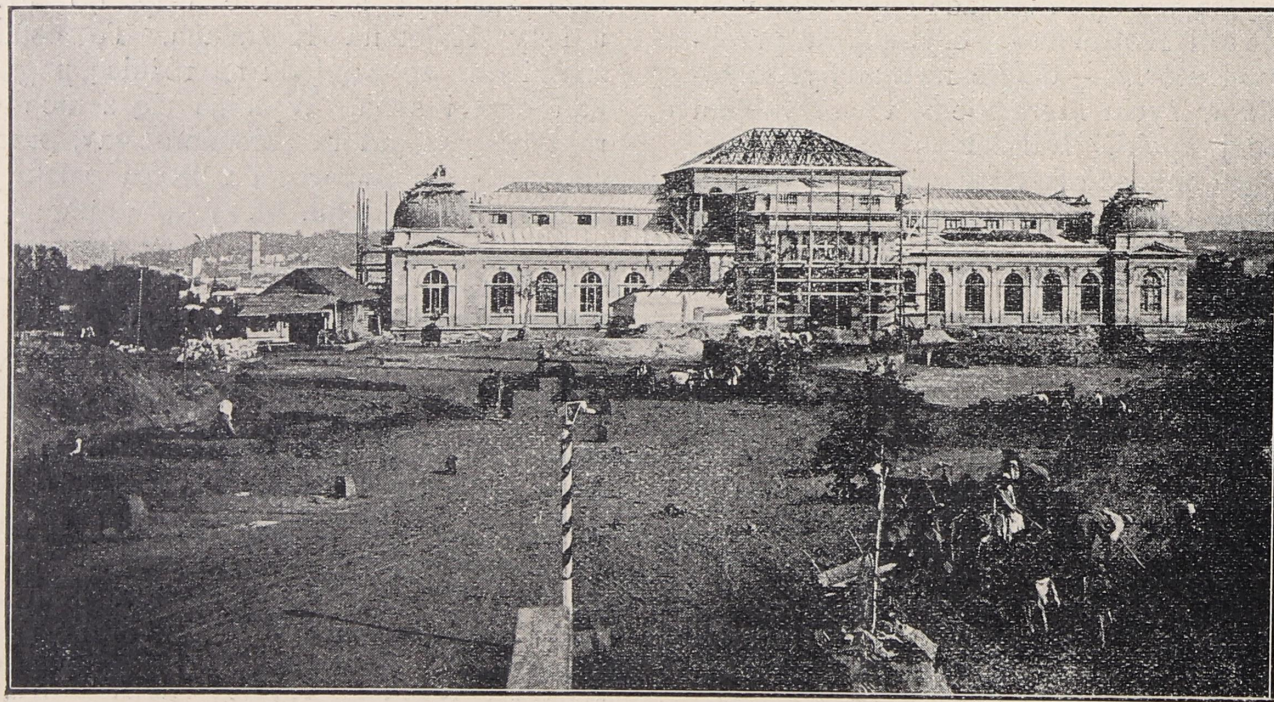
POWSZECHNA WYSTAWA KRAJOWA WE LWOWIE.



PAWILONY SZKOLNICTWA.

skiej, kreśli wiernie wizerunki głównych jej działaczy i propagatorów na dwóch różnych biegunach stojących: Andrzeja hr. Zamoyskiego i Aleksandra margr.

lentem obserwatora, a przecież nie zgryźliwego satyryka. Najciekawszym i w największą ilość szczegółów obfitującym jest pobyt autora w Paryżu w latach od



PAWILON SZTUKI I WIDOK NA MIASTO.

Wielopolskiego. Śmierć Kajetana Koźmiana w r. 1856, odgłosy wojny krymskiej, wstąpienie na tron Aleksandra II, wreszcie wydalenie, po śmierci ojca, z Królestwa, wpływa na zmianę stosunków prywatnych Andrzeja Edw. Koźmiana. Przenosi się do Galicji do Dobruchowa, majątku żony, a następnie do Poznańskiego, gdzie przyjmuje stałą gościnę w domu serde-

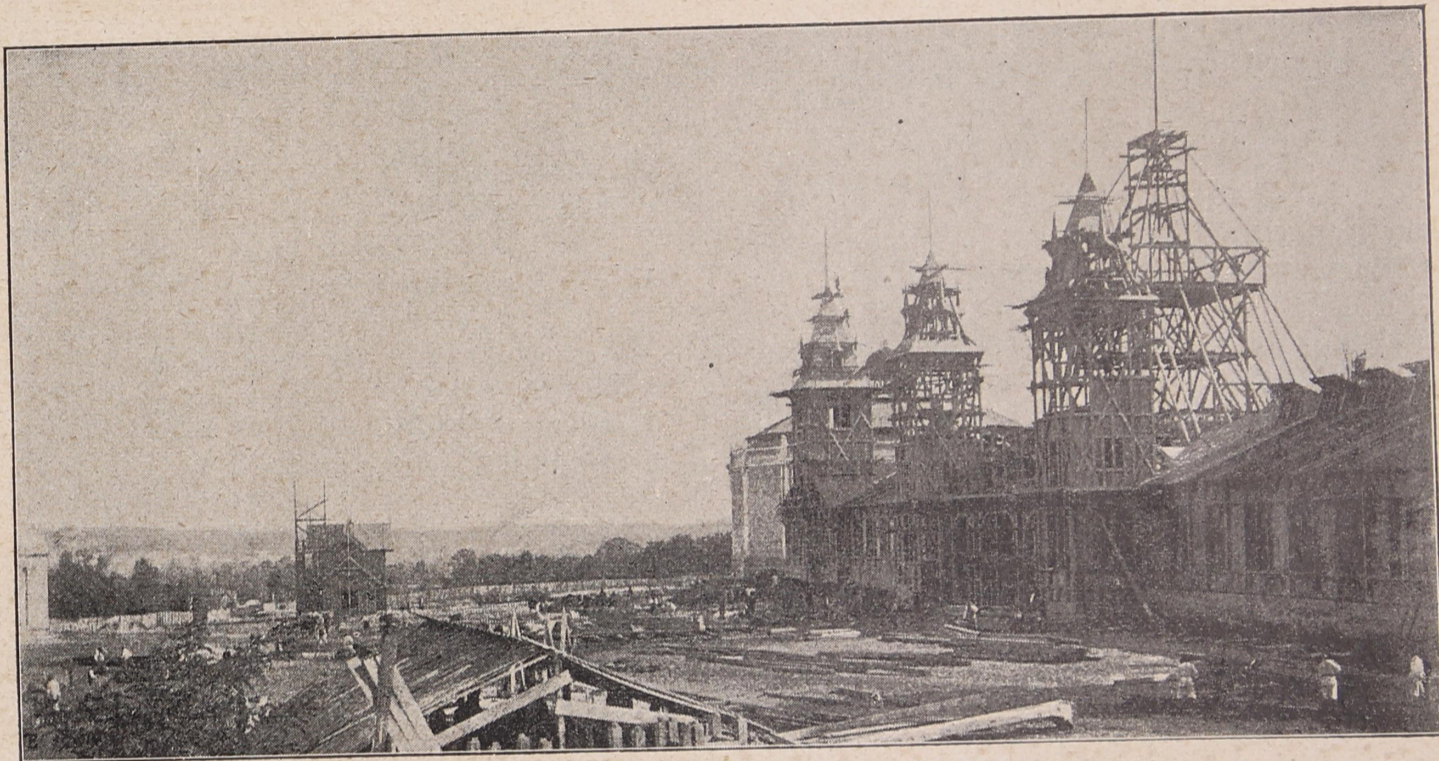
1858 do 1864 roku. Listy z tego okresu wypełniają drugą połowę trzeciego i cały czwarty tom zbioru. Jako źródło materiałów historycznych do epoki przedpowstaniowej, jako obraz politycznych działań naszej emigracji i tyle obiecującego stosunku z Napoleonem III, część to najcenniejsza i najciekawsza. Ocierając się z bliska o dwór francuzki i jego kamaryllę, Ko-

zmian gdzie nie mógł sam, docierał przez rozległe swe stosunki i znajomości i był zawsze *au courant* wszystkiego co się przygotowywało na horyzoncie politycznym. Jako zaufany hotelu Lambert, Koźmian pośredniczy w negocjacyach na rzecz ojczystego kraju; przez wpływowego ministra Napoleona Walewskiego usiłuje wpłynąć na potężnego monarchę Francji, by dopomógł sprawie polskiej. Podmuch wolnościowy, wiejący z Włoch, zapala wówczas w Europie umysły: z półwyspu dochodzą odgłosy zwycięstw, i wszystkich — a w pierwszym rządzie Polaków — ogarnia zapal i wiara w bliskie najgorętszych pragnień narodu urzeczywistnienie. Nadchodzi bitwa pod Magentą, pokój w Villafranca a z nim prędkie rozwianie nadziei. Te wszystkie wypadki, te wszystkie usiłowania, ludzie i ich czyny przesuwają się jak obrazy kalejdoskopu, ciągle zmieniające się w umiejętnym oświetleniu, ujęte

wania najpoważniejszych epizodów na tle powszedniego tła codziennych wypadków drobiazgowych i nawet zabawnych niekiedy szczegółów. Kiedy się ogarnie myślą całość tych zajmujących notatek, kiedy myśl zagłębi się w rozpamiętywanie minionych niewrotnie chwil epoki złudzeń i europejskiego flirtu, epoki panowania w Paryżu polskich salonów i polskiego ducha, i kiedy się porówna ówczesny stan z dzisiejszym, ówczesne nasze polityczne stanowisko we Francji z dzisiejszem, żal serce ściska, ciężar przegniata duszę. Gdzie te czasy i ci ludzie!

Tom trzeci listów kończy się na roku 1859, czwarty zaś i ostatni, jeszcze nie ogłoszony, zawiera opis wypadków w kraju i za granicą, które poprzedziły wybuch ruchu narodowego w r. 1863. Obfitość i ważność zgromadzonego w tej korespondencji materiału politycznego, literackiego i obyczajowego, ka-

POWSZECHNA WYSTAWA KRAJOWA WE LWOWIE.



PAWILON PRZEMYSŁU WIDZIANY Z BOKU.

w formę barwną, lekką, ulotną, nie nużącą czytelnika, a dającą mu przecież poważną strawę. Dziwny urok posiada ta metoda koźmianowska, szkico-

że ją zaliczyć do najcenniejszych w tym rodzaju publikacyj z lat ostatnich.

WŁADYSŁAW PROKESCH.

WYSTAWA W 1894 ROKU.

W ostatnich dwu numerach *Świata* wypowiedzieliśmy się już szczerze z wrażeń, jakie sprawiają na nas główne budynki wystawy r. 1894. Ołówki pp. Dyrdonia i Fabiańskiego poparły znakomicie słowa nasze. Na dziś pozostawiliśmy sobie tylko oświetlenie wznoszonych gmachów z innej strony, a do klisz firmy lwowskiej Trzemeskiego pozwolimy sobie dorzucić jeszcze wyrazów parę.

Więc architektura. Pawilon ten, jak wspomniano, projektował czynny za dwóch — za dziesięciu! — nadinżynier Skowron a zaprojektował go »w stylu czystogreckim, jako kombinacja świątyni jońskiej z dorycką, obie systemu ampliprostylos«. Budowa postępuje różnie i już dziś zwraca na się uwagę znawców i nie-

znawców, których to ostatnich podobno u nas najwięcej, zwłaszcza gdy o wydanie krytycznego wyroku idzie.

W ostatniej prawie chwili dowiadujemy się, iż na posiedzeniu wydziału budowlanego wystawy, obradującego stale każdej środy pod tyle doświadczoną laską rektora Zacharjewicza, postanowiono pawilon architektury przyozdobić... polichromią! Brawo, bravissimo! Będzie to bowiem pierwsza, jedyna w świecie polichromia grecka, dotąd bowiem prócz kilku zaczętych ledwie próbek i projektów na papierze... nigdzie jej w czyn nie wprowadzono! Początkowo piętrowy i na okazy przemysłu artystycznego przeznaczony, zredukowany został pawilon architektury

do naturalnego parteru i oddany wyłącznie pp. architektom.

Czy go wypełnią? Ani wątpić chcemy... Wnętrze nie zawiedzie przecież zewnętrznych czystych harmonijnych linii. Więc

..... »najpiękniej prosimy
W tej... Grecy dość miejsca, wszyscy się zmieścimy...«

*

Gmach przemysłowy założony w formie litery **E** również dzieło nadinżyniera Skowrona, przedstawia się i z boku patrząc nader interesująco.

»Serce« wystawy opisaliśmy już tak szczegółowo, iż nic tu prawie do nadmienienia nam nie pozostaje. Prócz... prócz jednej innowacji, której pominąć nie sposób. Oto i gmach ten otrzyma polichromiczne przyozdobienie o motywach czysto-rodzimych. Jestto już rzecz uchwaloną. Oferta braci Flecków przyjęta, rektor Zacharjewicz oceni sam ich szkice. Iż na tem zyska niemało budowa cała, iż stanie się nawskróś oryginalną, dodawać zbytecznie. Partyę środkową podniesie też oszklenie barwne i półkolisty tympanon o średnicy 6 metrów, przedstawiający apoteozę przemysłu.

Kto go wykona? — *that is the question!*

*

Na kliszy gmach przemysłowy wyobrażającej, dostrzeże uważny czytelnik pawilon mocno, jakby niedyskretnie, ku miastu i parkowi wysunięty.

To... dziennikarstwo. Budynek postawiony według konkursowego szkicu, a potem szczegółowego projektu uzdolnionego architekta kołomyjskiego p. Krzyszkowskiego, z drzewa, odznacza się lekkością i ma cechę wystawowego prowizorycznego pawilonu. Oprócz biura i wystawy literacko-dziennikarskiej pomieści w sobie pawilon ten salę zebrań, gabinet dla korespondentów i... ubikacje dla Akademii umiejętności.

Należy sądzić, iż z takiego sąsiedztwa niektórzy pp. dziennikarze, zawsze niezadowoleni, tym razem będą chyba radzi...

*

Szkolnictwo krajowe, jak postanowiono, umieszczone będzie na wystawie r. 1894 w trzech — w odległości 10 metrów obok siebie stojących — budynkach.

Środkowy budynek służyć ma dla krajowej rady szkolnej i obejmie szkoły ludowe, gimnazya i szkoły realne. Pawilon ten wznoszony jest kosztem J. E. p. Namiestnika. Zajmuje on 500 m. kw. powierzchni i tworzy w rzucie poziomym formę **L**.

Po lewej stronie pawilon dla uniwersytetów i politechniki, budowla sumptem wystawy krajowej wzniesiona; również 500 m. kw. powierzchni z rzutem formy **I**.

Z prawej strony pawilonu rady szkolnej dźwiga się budynek, w którym znajdą pomieszczenie okazy obu państwowych szkół przemysłowych (krakowskiej i lwowskiej), oraz wszystkich szkół zawodowych Galicyi tak krajowych jak państwowych. W tym celu wydział krajowy, nie szczędząc grosza, polecił zająć 900 m. kw. przestrzeni. Budynek składa się z jednego pawilonu o 500 i drugiego o 400 m. kw. które ze sobą połączone są pod kątem prostym, za pomocą galeryi ze wszystkich stron zakrytej i oknami oświetlonej.

Wszystkie budynki z drzewa z występującymi słupkami i ryglami, które wypełnią luki. Charakter pawilonów w stylu zameczkowym. Pawilony tworzą razem jedną architektoniczną całość, choć każdy z nich w odmienną przedstawi się formie.

Do budowli tej nieraz jeszcze wrócimy, nadmieniając tu tylko krótko, iż twórcą jej jest znany zaszczytnie w kraju i za granicą, architekt Gorgolewski, niemiecki radca budowniczy, a obecnie dyrektor szkoły przemysłowej lwowskiej.

*

Na str. 568 — raz jeszcze — pałac sztuki od placu wystawy wzięty, z uroczym nad wyraz widokiem na Lwów, co, jak niejednokrotnie podnosiliśmy, będzie niewątpliwie jedną z szczególnych ponęt i przynęt turnieju r. 1894.

CELLO.

MEDAL MIKOŁAJA ZAKLIKI, KANCLERZA KORONNEGO.

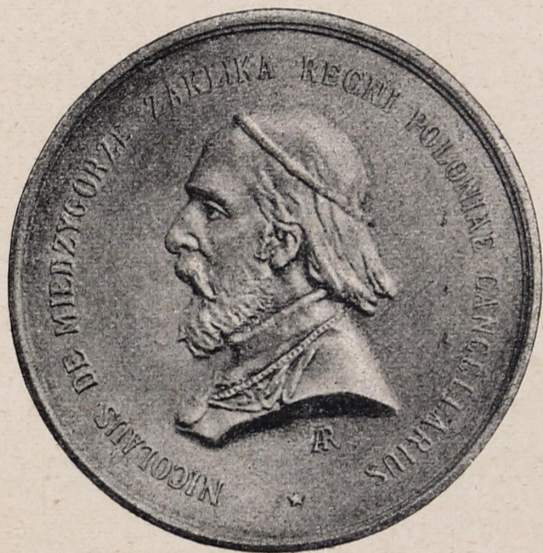
Medalierstwo, zaniedbane w wiekach średnich, rozwinęło się w XV i XVI wieku we Włoszech. Na wzór starożytnych zaczęto bić medale na pamiątkę wielkich ludzi i ważnych wypadków historycznych. Ta sztuka przeszła i do innych narodów, a Polska będąca naówczas w ścisłych stosunkach z Włochami, korzystała jedna z pierwszych z jej wydoskonalenia. Znane są z tych czasów piękne medale Zygmunta I, królowej Bony i Zygmunta Augusta, wykonane przez Domenico Veneziano i Jana Maryę Padovano z Werony (r. 1530), który naówczas przebywał w Polsce. Steven van Hollan, Niderlandczyk, wykonał dwa medale Zygmunta Augusta. Następnie królowie polscy dbali o rozwój medalierstwa, które jednak tylko przez cudzoziemców było wykonywane. Za przykładem monarchów, podobnie jak w innych krajach, niektórzy panowie polscy bili także swoje medale. Najwięcej zajmowano się u nas medalierstwem za panowania Stanisława Augusta, który sprowadzał artystów biegłych w tej sztuce i hojnie ich wynagradzał. Jan Filip Holtzhauser nadworny medalier tego króla i na-

stępnie Jan Jakób Reichel wstawili się wybornem wykonaniem znacznej liczby medalów. Z Polaków odznaczył się Jan Regulski. W obecnym stuleciu nie ustało interesowanie się tą sztuką. Rozwinęły się i u nas talenta na tem polu; dowodem tego piękne medale wykonane przez Jana Minhejmera w Warszawie. Do zbioru medalów polskich przybył w ostatnich czasach medal wybity na pamiątkę Mikołaja Zakliki, kanclerza, który żył w XIV wieku. Wybić go kazał p. Władysław Zaklika, by uczcić pamięć znakomitego przodka. Egzemplarze srebrne w liczbie 15 rozesłano do niektórych dostojnych osób, a 25 brązowych przeznaczono do muzeów i bibliotek narodowych. Medal modelowany przez p. Alfreda Römera, wybitym został w słynnym zakładzie »Mary & Fils« w Paryżu. Miara jego w średnicy wynosi 57 mlm.

Strona główna medalu przedstawia popiersie kanclerza z boku widziane. Na głowie wążka opaska. Odzienie stanowi rodzaj żupana z wysokim kołnierzem, na szyi łańcuch. W okółko popiersia napis: »*Nicolaus de Międzygorze Zaklika, Regni Poloniae Cancellarius*«.

Pod ramieniem monogram A. R. Strona odwrotna ma tarczę herbową z brzegami wyginanemi, w otoku napis: »Atavo clarissimo grata proles«, u spodu daty: 1375 i 1893. W braku ikonograficznych źródeł, wizerunek kanclerza odtworzonym został na podstawie rzeźby pomników współczesnych i portretów rodzinnych.

Mikołaj Zaklika z Międzygorza należał do rodziny, która jest szczepem znamienitego i potężnego rodu Toporczyków, należą także do niego Tarłowie, Tęczyńscy i Ossolińscy. Od wieku XIII wysokie godności i urzędy w ziemi sandomierskiej prawie dziedzicznie trzymały się rodu Zaklików. Jan Zaklika, syn Neorzy, wojewody sandomierskiego, dworzanin Kazi-



mierza Wielkiego, otrzymał od tegoż króla w r. 1370 zamek Międzygorze w sandomierskiem. Najznakomitszym z tej rodziny był syn jego Mikołaj, późniejszy kanclerz, który zaczął się pisać z Międzygorza i od którego idą wszyscy Zaklikowie. W r. 1377, kiedy szlachta małopolska spieszyła na Ruś Czerwoną dla odparcia napadu Litwinów, jedną z 7 chorągwi wystawionych przez Toporczyków prowadził Mikołaj Zaklika¹⁾. Przy końcu 1384 r. występuje już tenże Mikołaj jako kanclerz królowej Jadwigi²⁾; z objęciem zaś rządów przez Władysława Jagiełłę zostaje kanclerzem koronnym nowego króla i występuje w szeregu

¹⁾ Długosz. III. 372. wyd. krak.

²⁾ R. 1384. 28 grudnia. Kod. Małop. VIII. 103.

dypłomatów ciągle, aż po rok 1404³⁾. Z kanclerstwem łączył on zarazem przez czas pewien probostwo sandomierskie⁴⁾. Po roku 1390 występuje w dyplomatach tylko jako kanclerz, a następnie jako kanclerz i starosta kujawski⁵⁾.

Dbały o pożytek i dobro odnowionej Akademii krakowskiej, Mikołaj Zaklika odstępuje tejże swych praw patronatu kollegiaty św. Idziego w Krakowie. Papież darowiznę tę potwierdza bullą z d. 10 maja 1401 r. a kanclerza Zaklikę Akademia zapisuje w poczet swoich dobrodziejów⁶⁾. Pod koniec długoletniego piastowania urzędu kanclerstwa, Mikołaj Zaklika oddaje się zagospodarowaniu i wewnętrznemu urządzeniu królewskiej starostwa kujawskiego, które przy-

prowadza do bardzo pomyślnego stanu⁷⁾. Ostatni raz występuje w zapiskach sądowych z r. 1408⁸⁾, jako jeden z wykonawców ostatniej woli królowej Jadwigi.

³⁾ Cod. dipl. Pol. II. 369, 370. Pisz się: »Cancellarius aule regie«, tylko na niektórych dyplomatach: »Cancellarius Regni Polonie«. Tamże. II. 815, 817.

⁴⁾ W skarbcu katedry sandomierskiej zachowuje się cenna pamiątka po kanclerzu. Jestto okrągła podstawa srebrna (zdaje się od kielicha kościelnego) z herbem Topor. Na niej jest wryta głowa Chrystusa i następujący napis w około: »Istud opus conpavit D-us Zaklika prepositus sandomiriensis Anno Domini millesimo trecentesimo octuagesimo nono.«

⁵⁾ Cod. dipl. Pol. II. 811, 814 i 815. Na ostatnim dyplomacie jako: »Capitaneus terre Cuyavie generalis«. Patrz także: Caro: Gesch. Polens, III. 150, nota I.

⁶⁾ Zeissberg: Das aelteste Matrikelbuch der Universität Krakau. 4.

⁷⁾ Dł. Dz. Pol. T. III. 538. Wyd. krak.

⁸⁾ Helcel: Praw. Pol. Pom. II. Nr. 1164.

A. SMOLEŃSKI.

K R O N I K A.

* W wielkiej sali Muzeum narodowego otwartą została »Wystawa Matejkowska«. Dyrektor instytucji i gorący wielbiciel geniuszu przedwcześnie zmarłego mistrza zebrał tu kilkadziesiąt obrazów twórcy »Hołdu« i »Kościuszki pod Raclawicami«, które — jak wiadomo — oddawna zdobiją ściany publicznej galerii krakowskiej. Znaczna ich część należała do zmarłego artysty i członków jego rodziny, znaną zatem była tylko najbliższemu kółku przyjaciół Matejki. Są tu studia z »Grunwaldu«, jest kilkanaście znakomitych portretów, kilka większych wykończonych szkiców, jak »Abdykacja Jana Kazimierza«, »Wyjście studentów z Krakowa«, »Władysław IV na polu bitwy«, wreszcie kilka dawniejszych obrazów historycznych, a pomiędzy niemi »Dysputa w dziedzińcu Biblioteki Jagiellońskiej«. Najciekawszem jednak dziełem znajdującem się

na wystawie — tak ze wszech miar interesującej — jest wielki obraz »Śluby Jana Kazimierza«, niestety nie dokończony. To jednak co widzimy wystarcza, aby w całej pełni odczuć intencję twórcy i poznać w szczegółach mistrzowski jego pędzel.

* Dajemy w dzisiejszym numerze *Świata* portret Dra Stanisława Poraj Madejskiego, obecnego ministra wyznań i oświaty. Urodził się on w 1841 r. w Sieniawie. Gimnazjum ukończył w Rzeszowie, następnie wydział prawniczy w Krakowie i Lwowie. W 1864 r. wstąpił do służby państwowej jako praktykant sądowy; w r. 1866 uzyskał stopień doktora praw; w 1870 powołany został do ministerium sprawiedliwości jako referent spraw galicyjskich. Pracował głównie w sekcji prawodawczej. W r. 1872 wystąpił ze służby państwowej i otrzymał posadę notaryusza naprzód

w Liskach, następnie w Brzesku. W 1879 habilitował się w Krakowie jako docent procedury cywilnej. W r. 1885 powołano go ponownie do ministerium sprawiedliwości, a następnie zamianowano profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wykładał prawo cywilne. W roku ubiegłym obrany został rektorem. Jest członkiem czynnym Akademii Umiejętności. Lat kilka wybierany był posłem do Sejmu, oraz posłem do Rady państwa. W marcu b. r. zajął krzesło drugiego wiceprezydenta izby niższej w Wiedniu. Ogłosił wiele dzieł i rozpraw, z dziedziny prawoznawstwa, a nadto broszurę »Die deutsche Statssprache«.

* Wiceprezesem Akademii Umiejętności wybrany został ponownie prof. Dr Zoll,

* Jan Zacharyasiewicz spędził miesiąc cały w Krakowie, niemal ciągle chory na influencję. Utalentowany powieściopisarz udał się

teraz do Zakopanego, gdzie prawdopodobnie zabawi do połowy stycznia.

* Aleksander Kraushar, w przejeździe z Warszawy do Wiednia, gościł w Krakowie dni parę.

* S. Lewental, znany wydawca i redaktor kilku czasopism warszawskich, bawił dwa dni w mieście naszym.

* Kazimierz Bartoszewicz zamieścił w przedostatnim Nrze petersburskiego *Kraju* początek bardzo ciekawego artykułu o stosunkach Augustyna Wilkońskiego z *Bibliotką Warszawską*. Materiałem były dla niego oryginalne listy Wilkońskiego, odnoszące się do początków jego ramotkarskiej kariery. Dla naszego *Świata* mamy przyrzeczony artykuł od K. Bartoszewicza o życiu wyższego świata Warszawy w latach 1806—1807, oparty przeważnie na pamiętnikach Heleny Ostrowskiej, podkomorzyny braclawskiej, której córka była za szefem Drzewieckim. Pamiętniki te, składające się z dwóch sporych zeszytów, są dziennikiem pani podkomorzyni, w którym zapisywała najmniejsze drobiazgi dotyczące się jej, osób wśród których żyła i wogóle ówczesnej arystokracji. Naiwne, kreślone bez znajomości stylu i języka, przepełnione są szczegółami prawie bez wartości, a jednak dla umiejającego szukać stanowią znakomity materiał do dziejów obyczajów. Z pod pióra Bartoszewicza wyjdzie z nich żywy, pełen charakterystyki obrazek, przedstawiający czem się zajmowali nasi dziadkowie, a zwłaszcza babki, w chwili kiedy zwycięzki oręż Napoleona dążył ku Jenie, po której powstało księstwo warszawskie.

* Henryk Siemiradzki ogłasza, że nie proponowano mu objęcia posady dyrektora Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie i że on sam o nią się nie stara.

* Z odezwy nadesłanej nam przez »Czytelnia polską« w Białej dowiadujemy się, że zbierana drogą składek przed dwoma laty kwota 3.500 guldenów — dzięki zabiegom, staraniom i oszczędności zarządu — wzrosła już do wysokości 8.000 złr. Z tą sumą członkowie instytucji »ufni w pomoc współziomków« przystąpili do budowy »własnego domu«. Kapitał posiadany obecnie nie wystarczy jednakże na wzniesienie budynku. Jeśli składowi dalej wpływać nie będą »przedsięwzięcie« tak doniosłe i ważne »zachwieje się, a nawet rozbić się może«. Słusznie zatem przedstawiciele i obrońcy idei polskiej na Szląsku twierdzą, że pomódz nie tylko należy, ale i koniecznie potrzeba. »Pomoc udzielona w tym celu to nie pieniądz wyrzucony na pańskie zachcianki zwykłej prowincjonalnej czytelnicy lub tow. kasyнового, lecz grosz złożony na ołtarzu ukochanej ojczyzny«. Datki uadsyłać należy pod adresem »Czytelnia polska« w Białej.

* W *salonie Tow. Przyj. Sztuk Pięknych* w Sukiennicach otwartą została w tych dniach wystawa obrazów olejnych, pastel i akwarell utalentowanego malarza Stanisława Janowskiego.

* Jeden z najznakomitszych malarzy rosyjskich, I. Repin, który należał do orszaku żałobnego na pogrzebie Matejki, zamieścił w petersburskiej *Teatralnej gazecie* dwa listy o zmarłym mistrzu, pełne głębokiego uczucia i szczerego entuzjazmu dla genialnych utworów wielkiego artysty.

* Wiedeński *Interessante-Blatt* pomieścił rycinę przedstawiającą pogrzeb Matejki, podług fotografii wykonanej w zakładzie pani Bizańskiej.

* Krakowskie tow. przyjaciół Sztuk pięknych przeznaczają jako premium na rok przyszły oleodrukową kopię z obrazu »Odpozynek żniwiarzy« przez Wincentego Wodzinowskiego.

* Korespondent lwowski *Świata* donosi: »Reżysera p. Romana Żelazowskiego święciła w tych dniach nowy tryumf. Przedstawiony

przez niego dramat Ganghofera »Na wyżynach«, wykonany był z świetną starannością, bardzo umiejętnie i poprawie. *Mise en scène* odznaczała się prawdziwą znajomością techniki teatralnej; uplanowanie rzechu było bardzo konsekwentnie obmyślane; pomimo ładnych dekoracyj, kosztownych mebli i rekwizytów, kunszt tapicerski nie dominował nad układem scenicznym. Lepszego *ensemble* wykonawczego nie widziałem ani w Warszawie, ani na dworskich lub narodowych scenach w Niemczech i we Francji. Nadto, przy harmonijnej całości, wszyscy artyści starsi i młodszy, grający nawet w drobnych rolach, złożyli dowody niezaprzeczonego talentu i rutyny, wyzyskanych właściwie przez reżysera. W sztuce melodramatycznej, nieposiadającej wprawdzie zalet literackich i artystycznych, ale efektownej, stworzyli pierwszorzędną kreację: pani Żelazowska, tudzież panowie: Żelazowski i Chmieliński. Wybornie grały panie: Gostyńska i Siemaszkowa, której talent coraz piękniej się rozwija. Na wyrazy gorącego uznania zasłużyli pp. Wysocki, Jaworski, Ruszkowski, Feldman, pani Otrembowa, oraz dwaj młodzi aktorowie: Kliszewski i Wostrowski, którzy pod kierownictwem utalentowanego informatora zaczynają słusznie zdobywać sympaty publiczności. Bardzo surowi i kompetentni znawcy wieszowali p. Żelazowskiemu tak szybkiego i niepospolitego powodzenia jego pracy wśród warunków niezmiernie trudnych, wśród rozprzeżenia i dezorganizacji, jakie poprzednie dyrekcje teatrów hr. Skarbka pozostawiły w spuściźnie; a chociaż dotąd sukces jest tylko moralny, podnosi on jednak już znaczenie sceny lwowskiej, górującej obecnie — nader często — nad innymi polskimi, nie samymi tylko dobrymi chęciami, ale i artystycznie spełnionem zadaniem. Dowiaduję się w ostatniej chwili, że dyrekcja teatru zamierza operetkę usunąć i nadal wszystkie swe zasoby i całą pracę poświęcić dramatom, komedii i operze serio. Zamiarowi temu szczerze i głośno przyklasnąć należy.

* Wieczorek Mickiewiczowski, koncert na pomnik Oskara Kolberga (urządzony staraniem Władysława Żeleńskiego i Jana Galla) i poranek na dochód Tow. wzajemnej pomocy uczniów Uniw. Jagiellońskiego powiodły się doskonale. Nie rozpisujemy się o nich długo, sprawozdawcy bowiem pism codziennych zwykle szeroko omawiają podobne uroczystości, informując dostatecznie najrozleglejsze koła czytelników. Dodamy tu tylko, że na wszystkie trzy — wymienione wyżej — skład p. B. Gabryelskiej dostarczył bezinteresownie doskonałego fortepianu z fabryki Blüthnera, która tak zasłużenie cieszy się europejskim rozgłosem.

* Ostatni zeszyt »Wielkiej encyklopedii powszechnej ilustrowanej«, jaki nas doszedł, rozpoczyna tom jedynasty cennego wydawnictwa literą C.

* Czasopismo *Kościuszkę* na grudzień obejmuje: Sto lat temu (Wspomnienie); Testamenty T. Kościuszki (c. d.); Kilka słów o fundacjach testamentowych; Zbiory pamiątek po Kościuszcze III. Różne przedmioty pamiątkowe (Dokończenie); 4) w Muzeum Narodowym w Rapperswyll; Bibliografia do dziejów i życia Tadeusza Kościuszki, zebrana przez pułkownika Edmunda Callier. (C. d.).

BIBLIOGRAFIA.

Sewer. — »Nafta«. Powieść. — Trzy tomy. — Warszawa. *Kuryer Warszawski* i S. Lewental 1894.

Powieść niniejsza utalentowanego autora, osnuta na kanwie doskonale obserwowanych stosunków górniczych i społecznych galicyjskich, ocenioną być nie może należycie w krótkiej wzmiance. Czytelnicy nasi znajdą jej rozbiór

szczegółowy w rubryce poświęconej krytyce utworów beletrystycznych. Zachęcać do czytania »Nafty« nie potrzeba; sama ciekawość zapewni u nas książkę duże powodzenie.

»Ananas«. Kalendarz na rok 1894. — Część humorystyczną ułożył *Włodzimierz Zagórski* (Chochlik). — Rok dziesiąty. Kraków. Nakładem księgarni L. Zwolińskiego i S-ki.

Kalendarz ten wydawany i redagowany dawniej przez Kazimierza Bartoszewicza — przepelniony niegdyś ulotnymi szkicami jego bystrego, dowcipnego pióra, wyostrzonego jak brzytwa na twardej oselce prozy, lub na gładkim marmurze wiersza, zadającego śmiertelne rany przesądowi, prywacie, sobkowstwu i niedołęztwu — w roku obecnym zmienił edytora, przebrał się w nową sukienkę, skrojoną na modę warszawską i tak przetworzony stanął przed czytelnikami pod firmą znanego pisarza i humorysty, *Włodzimierza Zagórskiego* — Chochlika. Nie brak w nim i obecnie dowcipu podanego po literacku w wykwiintnej formie; nie brak satyrycznych omówień rzeczy, spraw i ludzi na dobie — więc i teraz stary »Ananas« liczyć może na powodzenie, zwłaszcza, że młody i czynny księgarz jest mu kumem, ojcem chrzestnym i przewodnikiem w mozolnej wędrówce handlowej po ziemiach królestwa Galicyi i Lodomerji złączonych szczerze z Księstwem Krakowskim.

Wojciech Dzieduszycki. — »W Paryżu«. Powieść obyczajowa. — Tomów trzy. — Lwów. Jakubowski i Zadurówicz. 1894.

Jest to utwór bardzo interesujący, a przyciem pisany z niezaprzeczoną talentem i z głęboką znajomością stosunków francuskich. Omówimy obszerniej tak treść jego jak i wartość w rubryce »Nowe powieści«, bo mniemamy, że dzieło tego znaczenia zbyć nie należy krótką i na kolanie kreśloną wzmianką. Tymczasem polecamy »W Paryżu« czytelnikom naszym, jako lekturę ciekawą i pożyteczną zarazem.

»Epos«. — Arcydzieła poezji epicznej wszystkich czasów i narodów. — Przez *A. Chasansang* i *A. L. Marcou*. Przełożył i uzupełnił *A. Lange*. — Warszawa. Teodor Paprocki i Ska. — Kraków. L. Zwoliński i Ska. 1894.

(r.) Jest to doskonały podręcznik, zasługujący na jak najszerze rozprzestrzenienie, straszca bowiem (przeważnie prozą) i omawia arcydzieła poezji epicznej wszystkich czasów i narodów. To co autorowie francuscy opuścili, wybornie dopełnił tłumacz, dając wyjątki z epopiej ludów słowiańskich w oryginałach (polskie) i we wzorowych przekładach (czeskie, serbskie, ruskie). Książka ułatwi nawet profanom zapoznanie się z najprzedniejszymi utworami wszech-światowej poezji i wyrobienia sądu o jednym z rodzajów poezji, który przeciętnie uważanym bywa za najwyższy. Nauczyć się z podręcznika można dużo, bez żadnego niemal wysiłku pracy.

NEKROLOGIA.

* W Londynie zmarł *John Tyndall*. Znakomity uczony urodził się d. 21 sierpnia 1820 r. jako syn ubogich rodziców w Irlandyi. Wyższe studia odbywał w Marburgu i w Berlinie. W r. 1858 zamianowany został profesorem fizyki w królewskim instytucie w Londynie. Tyndall jest twórcą teorii o promieniowaniu ciepła i przenoszenia się dźwięków przez powietrze atmosferyczne.

* W Rzymie przeniósł się do wieczności jeden z najgłośniejszych dziennikarzy włoskich *Piotr Sbarbaro*. Był twórcą wielu dzienników i tygodników. Słynął jako polemista niezmiernie cięty. Nawet przeciwnicy cenili jego charakter, pomimo że chłostał obłudników, oszczerców, karyerowiczów i wyzyskiwaczy bez miłosierdzia. Wiedzano, że pobudki jego wycieczek polemicznych były zawsze czyste i szlachetne.